Zeszyt III. Marzec

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

PISMO

naukowe i literackie.

LWÓW
DRUKARNIA POLSKA
1886.

TREŚĆ.

Sytuacja polityczna na półwyspie Bałkańskim*)

przez
T. T. Jeża.

Nie po raz to pierwszy mam zaszczyt przemawiać w obec publiczności genewskiej w kwestji, dotyczącej słowian południowych. Pięć lat właśnie upłynęło, jak pod skrzydłem Ligi pokoju i wolności miałem konferencję w tym samym przedmiocie. Było to nazajutrz prawie po kongresie Berlińskim w r. 1880. Konferencja owa nosiła tytuł: „Le congrès de Berlin et les Slaves du Sud“. Ośmieliłem się wtedy krytykować postanowienia kongresu i jeżeli wolno ludziom posiadać nieco miłości własnej, mogę się pochlubić, że już pięć lat temu wyjaśniłem przyczyny smutnej dzisiejszej wojny między Bułgarją a Serbią. Wyjaśnienia tych przyczyn zawarte są w powyżej cytowanej broszurze; mówiłem tam, że kongres Berliński przywrócił na półwyspie Bałkańskim zupełnie taki sam stan rzeczy, jaki tam panował w przededniu upadku państwa Bizantyńskiego.

Analogja jest uderzającą. Wprost powrócono do „statu quo“ z przed pięciu lub sześciu wieków, kiedy ambicje monarchiczne naznaczyły sobie spotkanie na półwyspie Bałkańskim, walczyły o posiadanie jego, mąciły spokój, powstrzymywały wszelki postęp i ściągały interwencję obcą. Te same ambicje z temi samemi tendencjami wichrzą i obecnie w tym kraju. Nic nie brakuje do zupełnego podobieństwa stosunków: nie brak zdobywców, pośredników, podżegaczy, temporyzujących z rozmysłem, rywalizujących ze sobą i przez tę rywalizację przedłużających w nieskończoność polityczne imbroglio, któremu nadają pozory kwestji niedającej się rozstrzygnąć.

„Kongres berliński pod tym względem nic nowego nie wprowadził, i pomimo niektórych pozorów odmiennych, stworzył tę samą zagmatwaną sytuację, która trwała od dziewiątego do czternastego wieku“.

Widzicie więc, Szanowni Panowie i Panie, że mógłbym się pochlubić wykryciem przyczyn obecnej serbo-bułgarskiej wojny, ale nie mogę się pochlubić, żem zwrócił na to uwagę opinji publicznej. Gabinety — rzecz ta była zresztą do przewidzenia — nie przyjęły tych uwag w rachubę, prasa nie umiała czy nie chciała tych uwag zrozumieć i pominęła

*) Odczyt wygłoszony w Genewie, d. 17 stycznia 1886 roku na rzecz rannych Serbów i Bułgarów.

je milczeniem; po za moimi zaś kolegami z Ligi, owo zbliżenie oddalonych epok zastanowiło — o ile wiem — jednego tylko człowieka — był to św. p. Hornung. Zmuszony więc jestem znowu owo zbliżenie się przypomnieć i uczynić je punktem wyjścia dla szczegółowego wyjaśnienia wypadków.

Owe imbroglio, które trwało siedem wieków i nie przyniosło żadnego rozwiązania, miało miejsce między trzema państwami, występującemi jedno po drugiem: najprzód było to państwo Bizantyńskie, potem Bulgarskie, następnie Serbskie. Każde z tych państw posiadało mniej więcej długi czas półwysep Bałkański i pretendowało do prawa zatrzymania go w swojem posiadaniu. Czyż nie zdobyły go? Czyż nie kupiły go krwią swoją lub ojców swoich? W imię tego to właśnie prawa, nazywanego „świętem", trzy owe państwa żyły w poswarkach nieskończonych, któreby przyrównać się dały do poswarek mieszkańców jednego domu, nie mogących ze sobą trafić do ładu, gdyby nie rozlew krwi, nieszczęścia, okrucieństwa, wdowy, sieroty, przeszkody do postępu i wszystkie te smutne następstwa, jakie za sobą pociąga wojna. Dziś rzeczy się odnowiły, ale nie zmieniły, uległy jednakże znacznej modyfikacji, tak co do formy, jak i co do treści. Naszkicujmy te modyfikacje.

Pierwsza różnica, która, że się tak wyrażę, rzuca się w oczy, tyczy się liczby i polega na tem, że przed zdobyciem kraju przez Ottomanów były trzy państwa, pretendujące do posiadania półwyspu Bałkańskiego. Było to dosyć, ażeby podtrzymywać niezgodę, która, jak wszyscy wiemy, pociągnęła za sobą zabór turecki. Dziś dawna liczba, która według przysłowia łacińskiego: *omne trinum perfectum* była najdogodniejszą, aby niezgodę podtrzymać, zastąpioną została przez liczbę ośm. Tak ośm: Turcja, Austrja, Grecja, Serbja, Bułgarja, Czarnogóra, Rumunja i nareszcie Albanja. Ale, zaliczywszy Albanję, nie ma dobrej racji nie zaliczać Rumelji, a więc wszystkich razem będzie dziewięć. W liczbie tych dziewięciu państw, zamkniętych niejako w jednem kole, trzy są pozabałkańskie, zewnętrzne, opierające się na siłach, co im za rezerwę służą i kierujące się dążeniami racji stanu, podszytemi interesami politycznymi, handlowymi, patrjotycznymi i t. p. Oto są te trzy państwa: najprzód Turcja, uważająca siebie za pokrzywdzoną w Europie we wszystkiem, co honor zaborczy stanowi; następnie Austrja, popychana przez Niemcy i pod przykryciem protektoratu niemieckiego rzucająca czułe i zazdrośne spojrzenia ku wybrzeżom Archipelagu i morzu Marmora; nareszcie Rumunja, która siedziałaby spokojnie, gdyby gabinet Petersburski nie wysunął był jej gwałtem przez zamianę cząstki Bessarabji na Dobrudżę i nie postawił w ten sposób w bezpośrednim stosunku z Bułgarją, dla której Dobrudża jest częścią nierozdzielną.

Z powyższych trzech państw dwa wchodzą do kategorji tak zwanych „mocarstw". Mocne są, raczej potężne, jeżeli nie z innej racji, to z tej przynajmniej, że jedno z nich może wystawić w szyku bojowym 600,000, drugie 1,000.000 żołnierza dobrze uzbrojonego i nieźle wyćwiczonego. Trzecie państwo — Rumunja — nie jest wprawdzie „mocarstwem", bierze się jednak w rachubę w stosunkach politycznych, wskutek swego geograficznego położenia, przez samą obecność na lewym brzegu Dunaju, przedewszystkiem zaś — wskutek swojej ambicji młodocianej, dążącej do ogarnięcia horyzontu tego samego, jakie obejmują Turcja i Austrja.

Resztę z sześciu państw tworzą, ze względu na znaczenie ich, dwie równe grupy, po trzy każda. Do pierwszej wchodzą: Grecja, Serbja i Bułgarja. Grecja, która uważa siebie za bezpośrednią i legalną dziedziczkę państwa bizantyńskiego nigdy i za nic nie zgodzi się zrzec pretensji do posiadłości po-bizantyńskich; Serbja ma także, poza Carogrodem i Peloponezem, dziedzictwo do odebrania — takie same do jakiego pretenduje Grecja; pretensje zaś Bułgarji są takie same, jak Grecji i Serbji, to znaczy takie same jakie manifestuje pokrzywdzona Turcja, popychana Austrja i idąca z wiarą w gwiazdę swoją Rumunja.

To dosyć — nieprawdaż? do jednego kawałka ziemi występują trzy państwa z pretensjami posiadania, trzy z pretensjami na dziedzictwo. Ale nie na tem koniec. Naliczyliśmy tych państw dziewięć, a wyliczyli sześć tylko; pozostają jeszcze trzy: Czarnogóra, Albanja i Rumelja. Jakie jest ich położenie i ich rola? Czarnogóra udarowana niepodległością, zaopatrzona w glebę niewdzięczną, zamieszkała przez ludność przywykłą żyć kosztem sąsiadów, dusi się w górach swoich bezpłodnych i marzy tylko o wojnie i podbojach. Szarpnęła by się chętnie do zdobycia wszystkiego, co dotyka do niej zbliska i zdaleka—nawet Konstantynopola — gdyby jeno mogła mieć punkt wyjścia dogodniejszy od tego, jakim ją natura obdarzyła: Herzogowinę np. Bośnię, Serbję lub Albanję. Czarnogórcy żyją pięknem marzeniem, a urzeczywistnienie onego widzą w ogólnych na półwyspie Bałkańskim zatargach, któreby sprowadziły wojnę między Rosją a Austrją. O, jakże oni wojny tej życzą sobie! szczególnie od chwili, jak Austrja, ze szkodą ich własnych projektów i nadziei, zawładnęła Bośnją i Herzogowiną. Albanja nie posiada wprawdzie niepodległości, ale zależność jej od Wysokiej Porty jest raczej nominalna, aniżeli rzeczywista i wyraża się bezustanną buntowniczością, która stanowi wybitną narodową cechę Albańczyków. Albańczyk nie ulega, gdyż nie lubi uginać się przed prawem i poczuwa się do narodowości odrębnej, która nie jest ani turecką, ani grecką, ani słowiańską, a której pierwsze występy polityczne pozwoliły zaliczyć lud albański do najwaleczniejszych. Pierwsze debiuty rozpoczęły się od Skanderbega i od tego czasu t. j.

od XV w., burzą się Albańczycy ustawicznie bez celu jasno określonego, ale z nieustającą energją, dzięki której spokojne uregulowanie stosunków między ludami bałkańskiego półwyspu jest prawie niemożebne. Albańczycy nie mogą zgodzić się z Turkami, tem bardziej nie zgodzą się z Grekami, lub Słowianami. Opór ich oddziałuje wprost przeciwko wszelkim usiłowaniom zjednoczenia pod jednem berłem rozmaitych ludów, zamieszkujących półwysep Bałkański.

Pozostaje nam jeszcze do scharakteryzowania Rumelja, która stała się przyczyną wojny obecnej. Rumeljoci nie dążyli do stworzenia państwa odrębnego, nie mieli i nie mogą mieć zamiarów innych, jak dzielić los swoich braci z poza Bałkanów. W przeszłości Rumelja nie tworzyła odrębnego państwa, nie posiadała wcale pełnych chwały wspomnień, któreby ją przeciwko sąsiadom popychały. Nie mogła ona mieć innych zachceń — na dziś przynajmniej — jak tylko połączyć się z Bułgarją, wrócić na łono wspólnej ojczyzny. Widzieliśmy jakie były następstwa tego. Ta spokojna rewolucja podniosła na nogi rywalów i współnastępców wszystkich: Turcję, Austrję, Rumunję, Serbję i Grecję. Można byłoby przypuścić, że dwa ostatnie państewka przyłączą się do wspólnych działań Bułgarji przeciwko Turcji, i takie były ich chęci. Stan rzeczy przybrał jednakże charakter odmienny i zamiast wojny o wolność dwa narody słowiańskie dały Europie smutne widowisko bratobójczej wojny. Potrzeba było powodu; powód prędko się znalazł. Chęć połączenia się, zamanifestowana przez Bułgarów, zagroziła rzekomo równowadze politycznej półwyspu, król serbski wysunął swoją armję przeciwko bratniemu, zaledwie z niewoli okropnej wyzwolonemu narodowi. Awanturnicza ta wyprawa świat cały wprawiła w podziwienie. A jednak dziwić się zgoła nie ma czemu — jest to następstwo obecnego położenia narodów bałkańskiego półwyspu, jest to tylko proste powtórzenie wojen z przed sześciu, siedmiu i ośmiu wieków, jakie Serbowie toczyli z Bułgarami, a Bułgarowie z Serbami.

Druga modyfikacja dotyczy sposobu tworzenia się państw. Dawne państwa tworzyły się *proprio motu*, nie zapytując nikogo o przyznanie lub pozwolenie. Bułgarja, niegdyś prowincja rzymska, zwana Mözją niższą, stała się królestwem wskutek tego, że naród obcy i wojowniczy przeszedł z nad brzegów Wołgi na brzegi Dunaju, zdobył tę prowincję, osiedlił się tam, zmięszał się z ludnością miejscową i zmilitaryzował ją. Podobny stan rzeczy, daleko powolniej tylko, nastąpił w Mözji wyższej, z tą atoli różnicą, że w pierwszej organizację państwową przeprowadzili przybysze obcoplemienni, w drugiej — Słowianie z pod Karpatów: tam więc odbywał się proces sławianizacji, pochłaniania zdobywców przez zdobytych, tu zaś nie miały miejsca żadne zmiany narodowościowe. Są

to tylko szczegóły. Główna rzecz w tem, że oba powstałe państwa utworzyły się bez wiedzy dyplomacji, która zresztą w takiej formie, jak dziś nie egzystowała jeszcze, w wiekach VI i IX ery chrześcijańskiej. Stał się fakt, oto i wszystko, — ale fakt ten nie sprowadził żadnej wybitnej zmiany w stosunkach politycznych. Osłabił on jeno cesarstwo i przyczynił się do podziału Grecji. Oprócz Grecji nie interesowało to więcej nikogo; dopiero w XII i XIII w. postronne mocarstwa weszły w stosunek z bałkańskiemi państewkami, jako sprzymierzeńcy jednych, jako przeciwnicy drugich, wreszcie, jako protektorowie. Mocarstwa te były: Kurja rzymska, Węgry, Wenecja, Królestwo obojga Sycylji, Hiszpanja, cesarstwo niemieckie. Protekcja dotyczyła rozczłonkowania Serbji, od której odcięto najprzód Zetę (dzisiejsza Czarnogóra), następnie Bośnję, od której odłączyła się później Hercogowina. Izolowane te fakty nie pociągały ze sobą akcji wspólnej. Mocarstwa działały na swoje własne ryzyko i rachunek, nie kontrolując się wzajemnie i naturalnie akcja cała miała tylko na uwadze korzyść własną. Odnośnie do Bośnji nap., która przeobraziła się w królestwo niepodległe, protekcja miała na celu, utrzymywanie kraju tego w stanie ciągłego wrzenia. Zdarzało się nieraz, że po trzech królów panowało i rządziło jednocześnie. Z przybyciem Turków postać rzeczy zmieniła się. Poczęła się zarysowywać wspólna dyplomatyczna akcja, która stawała się wybitniejszą z biegiem wieków tak, że kiedy panowanie tureckie z kolei rzeczy osłabło, jak niegdyś panowanie cesarstwa, po którem nastąpiło, a państwa na półwyspie na nowo tworzyć się poczęły, dyplomacja ruch ten już obserwowała i interesowała się równowagą europejską, wynalezioną i proklamowaną od czasu pokoju Westfalskiego. W taki sposób, w imię owej równowagi, dyplomacja oderwała od Turcji Grecję, wzięła pod swoją opiekę jej niepodległość i obdarowała egzystencją, nadającą się w sam raz do wszelkich pokuszeń insurekcyjnych. Trzeba przyznać, że był to szczególniejszy sposób aplikowania równowagi politycznej. Mniejsza oto! Inne narodowości poszły za przykładem Greków i wchodziły do równowagi, powstając przeciwko panowaniu tureckiemu. Rumunowie i Słowianie mieli swoje chwile łaskawości dyplomatycznej; potworzyli państwa nowe; dyplomacja niepodległość ich uznawała z warunkiem, ażeby jej nie nadużywały. Zawierano umowy podpisywane bardzo solennie i naruszano je zachęcaniem wasalów do nadużyć przeciwko Porcie Ottomańskiej. Powstania przysposabiały się albo w Austrji, albo w Rosji, wywoływały zbrojną interwencję i najformalniejszą akcję dyplomatyczną, która wrzekomą równowagę przywracała. Kończyło się to i rozpoczynało znowu; tkano istne płótno Penelopy; najwyższym punktem tej roboty tkackiej był Paryż w 1856 gdzie, — zawsze w imieniu politycznej równowagi uznano

i gwarantowano niepodzielność Ottomańskiego państwa. Powiedziałem, że był to punkt kulminacyjny, gdyż od chwili tego uznania i gwarancji rozpoczęło się na wielką skalę rozpadanie Turcji, rozpadanie wywołane przez gabinety interesowane, a prowadzone i sankcjonowane przez dyplomację.

W tem właśnie tkwi wielka, zasadnicza, główna różnica między tworzeniem się państw starożytnych i nowożytnych. Starożytne formowały się same przez się, nowożytne dzięki dyplomacji, co je uznawała i kształtowała. Ostatnie jej wtrącenie się, które jednak ostatniem nie jest, miało miejsce w Berlinie w 1878 r. Kongres berliński powiększył nieco Grecję i uznał całkowitą niezależność Serbji, Rumunji i Czarnogóry, przyłączył Bośnję i Hercogowinę do Austrji, utworzył prawie niepodległą Bułgarję i mniej więcej niepodległą Rumelię. Wszystkie te małe państewka są to kreacje dyplomatyczne, powzięte i dokonane pod presją wpływów, o których będziemy mówić nieco niżej.

Jest trzecia jeszcze modyfikacja stanu rzeczy, odnośnie do półwyspu Bałkańskiego: jest to zmiana otoczenia. Państwo Bizantyńskie, w początkach swego politycznego życia, miało tylko do czynienia z barbarzyńcami, w stosunku do których dwa były sposoby działania: płacenie im wysokich haraczy, albo zwalczanie ich. Cesarstwo chwytało się obu sposobów naprzemian, według możności. Bezustanne najazdy skończyły się ostatecznie zwycięstwem barbarzyńców i osiedleniem się ich w samem sercu cesarstwa. Miało to miejsce w chwili przybycia Bułgarów, którzy jak powiedzieliśmy wyżej, przyszli z nad Wołgi i nawiasem mówiąc nie znali nawet swego imienia. Należało ugiąć się przed twardą koniecznością i ustąpić kraj i władzę z ukrytą myślą odebrania jednego i drugiego przy pierwszej sposobności. Usiłowania w tym kierunku po dwakroć podejmowane były jeszcze przed wystąpieniem Serbji. Barbarzyńcy zniknęli, miejsce ich z drugiej strony Dunaju i w Karpatach zajęły nowo-organizujące się, a politykujące państwa. Były to zarodki mocarstw, które pod względem aspiracji nie sięgały jeszcze daleko; cała akcja ich ograniczała się do zawładnięcia tem, co wpadło do ręki: widoki ich nie sięgały jeszcze do Konstantynopola. Dla nich było to za daleko, ponad siły i chociaż od czasu do czasu interwenjowały za Serbami lub przeciw Serbom, za Bułgarami lub przeciw Bułgarom, za Grecją lub przeciw Grekom, chociaż zdobywały czasem miasta i prowincje pograniczne: Konstantynopol, stolica cesarstwa, pożądań ich na siebie nie ściągał. Był dla nich prawie świętym. Latynowie, co czasu wojen krzyżowych zawładnęli miastem cesarskiem, uczynili to z wypadku, bez żadnego wyrachowania, stąd też panowanie ich było przejściowem. W ogóle, przedtem nim Turcy stali się panami Bizantyńskiego cesarstwa i stolicy, zna-

czenie owej stolicy nie było dostatecznie oceniane i nie ściągało na siebie uwagi tego, co później przybrało techniczną nazwę *gabinetów*. Kupcy pozycję tę dobrze znali; Genueńczycy kolonizowali nawet północne wybrzeża Złotego rogu i utrzymywali stosunki z kolonjami, osadzonemi na wybrzeżach Pontu Euxińskiego, kupcząc tak samo z Konstantynopolem jak i z narodami, które to zbliżały się, to oddalały od morza Czarnego. Ale mężowie stanu, których nie brak było w tej epoce, znali je tylko z tradycji, odnoszących się do wojen krzyżowych, lub z opowiadań mniej więcej fantastycznych. Komunikacje w wiekach XIV i XV były trudniejsze, jak za naszych czasów; korsarze pokrywali Śródziemne morze i tylko z wielkim trudem Wenecjanie i kawalerowie Rodyjscy protegowali nawigację. Bizantyńskie państwo zajmowała kwestja schizmy, zastępująca dzisiejszą kwestję Wschodnią; kwestja ta atoli, interesująca kościół, ciągnęła się przez wieki i nie była w stanie zwrócić uwagi polityki europejskiej na brzegi Bosforu. Ani Francja, ani Hiszpanja, ani Anglja, ani Niemcy nie wiązały swoich zamiarów z troskami specjalnemi stolicy apostolskiej; Węgry zajęte były sobą; Polska organizowała swoją federacje monarcho-republikańską; Rosja nie egzystowała jeszcze. Jednem słowem, polityka europejska, w epoce kiedy Turcy zjawili się w Europie i kiedy trzy państwa bałkańskie gryzły się ze sobą, pozostawiała rzeczy normalnemu biegowi.

Turcy pierwsi zwrócili uwagę na Konstantynopol — jako na prawdziwy klucz kwestji wschodniej.

Ażeby wyjaśnić tę kwestję z punktu malowniczego, pozwolę sobie powtórzyć legendę, kursującą między wyznawcami proroka. Znalazłem ją w opowiadaniach jednego z poetów naszych. Turcy utrzymują, że Allach, tworząc świat, zakończył dzieło swoje na Bosforze, właśnie gdzie *Boghaz* (cieśnina) łączy się z morzem Marmora. Ponieważ było to koroną jego dzieła, włożył weń całą miłość artysty i ukształtował w sposób szczególny: oddzielił Złoty róg, do którego skierował strumień słodkiej wody, ustawił pagórki z obu stron, zbliżył przylądek, Cypel Seraju, tu i owdzie utworzył pagórki, pokrył pochyłości ich kępami drzew, skał, zielenią, u wejścia rzucił wysepkę, na której wznosi się Wieża Leandra, nieco dalej rozsiał mnogość wysepek rozkosznych, formujących archipelag „Książęcych wysp“ i uporządkowawszy to w system, Stwórca odpoczął. Usiadł na szczycie góry Alendah z drugiej strony Bosforu i patrzył na wspaniały widok, ścielący się u nóg jego. Obok Stwórcy siedział wierny archanioł Gabryjel. Obaj wpatrywali się w piękność ostatniego dzieła stworzenia. Archanioł był zachwycony, ale Allach w miarę wpatrywania się smutniał. Smutek odbijał się w jego oczach i twarzy. Archanioł dostrzegł to i zdziwiony, zapytał Allacha:

— Panie! dla czego jesteś smutny w obec ostatniego dzieła własnej ręki? Jest ono tak piękne!

— Zanadto piękne! — odpowiedział Ałłach.

Jak tylko odeszli, przyszedł szatan, który zdaleka Stwórcy towarzyszył, usiadł na miejscu tem, gdzie siedział Ałłach, spojrzał i wykrzyknął:

— Jakie to piękne!

I dodał:

— Muszę wnet o piękności tej powiadomić kupców i królów...

Taka jest legenda muzułmańska. Tłumaczy ona wartość Konstantynopola pod względem piękności, która łącznie z bogactwem i wspaniałością stolicy Cesarzy Wschodu służyła celowym punktem najść barbarzyńców — Awarów, Arabów, Bułgarów, Waregów, oblęgających ją kilkakrotnie. Polityka europejska jednakże nie mięszała się do tych zajść. Interwencja jej rozpoczęła się dopiero wskutek organizacji trzech państw, ale nie przechodziła granic półwyspu Bałkańskiego. Grecy, Bułgarowie i Serbowie walczyli o Kostantynopol: cesarze aby go utrzymać, królowie bułgarscy i serbscy, aby go zdobyć i tytułem carów się ozdobić. Europa patrzyła na tę walkę, jako na sprawę domową; udział w niej przyjmowała tylko wypadkowo, ażeby od czasu do czasu zawładnąć jakiemiś szmatami kraju, łatwymi do zdobycia i utrzymania. W ten sposób Wenecjanie stali się panami części wybrzeża adryatyckiego, a Węgrowie przekroczyli swoje południowe granice. Rzeczy nie szły dalej. Konstantynopol pozostawał na ustroniu i dopiero Turcy zwrócili na ten punkt uwagę Europy.

Naraz rozległ się w Europie okrzyk trwogi, wydane przez zagrożone Cesarstwo, które samo przywołało wyznawców Proroka:

— Niewierni napadają na przedmurze chreścijaństwa!

Dotychczas nie wiedziano, że było to przedmurze. Nowina przez papieża potwierdzona, któremu schizmatycy obiecywali powrócić na łono kościoła prawdziwego, wywołała wielkie i silne na umysły wrażenie. Wrażenie to przyniosło wkrótce owoce. Europa poruszyła się dla obrony Konstantynopola. Zdecydowano zorganizować wyprawę wspólną i przystąpiono do tego po raz pierwszy w r. 1396. Wielka, piękna i waleczna armja złożona z Włochów, Niemców, Francuzów, Hiszpanów, Anglików, Polaków i Węgrów złączyła się pod rozkazami Zygmunta, króla Węgier i zniknęła, rozgromiona pod Nikopolis. Druga wyprawa w 48 lat później (w 1444 r.), z młodym królem polskim, Władysławem III. na czele dosięgła do Warny i zniszczoną została, a na polu bitwy padł król dowódca. W dziesięć lat później, Kostantynopol, po heroicznej obronie, wpadł w ręce Turków.

Wspomniałem o dwóch powyższych wyprawach, ażeby zaznaczyć punkt wyjścia kwestji wschodniej, która zogniskowuje się w Konstantynopolu i wskazać przemiany jej, które dzięki wypadkom nastąpiły. Konstantynopol służył jabłkiem niezgody dla trzech państw, a Europa nie wtrącała się do tego. Kiedy zagrożonym został, Europa się zainteresowała. Kiedy upadł, trzy państwa znikają ze sceny, a na miejsce ich występuje cesarstwo Ottomańskie. Europa staje oko w oko z Turcją, z państwem, które jest armją, które podbiwszy półwysep Bałkański i ujarzmiwszy zajmujące takowy i walczące ze sobą państwa, czuło się dość silnem do kuszenia się o półwysep europejski, celem ujarzmienia wszystkich państw, na nim się znajdujących. Kwestja zmieniła swoją fizjognomję. Europa znalazła się wobec następującej alternatywy: czekać napadu nieprzyjaciela, albo napaść go. Rozum przechylał decyzję do tego drugiego sposobu zażegnania niebezpieczeństwa i oto nastąpił perjod trwający aż do rewolucji francuskiej. W czasie trwania tego perjodu, pod kierunkiem kurji rzymskiej tworzą się ustawicznie, kształcą i rozwiązują ligi mocarstw chrześcjańskich, mające na widoku wypędzenie niewiernych z Europy.

Według zdania mego, Europa, gdyby się była tylko na serjo do rzeczy wzięła, cel by swój osiągnęła. Siła turecka nie była nigdy tak znaczną, aby się pokonać nie dała.

Czy nie chciano tego? Przeciwnie. Nie chęci brakowało, ale zgody trudnej do osiągnięcia — i nie bez racji. *Szatan dał poznać królom piękność Konstantynopola*. Nie o to już chodziło, aby go bronić jak w 1453 roku, ale o to, jakby go zagarnąć. Komu też ta piękność w udziale dostać się powinna?

Oto panowie węzeł kwestji wschodniej w przeszłości.

Do kogo Konstantynopol należeć powinien?

Tak się postawiła kwestja ta od początku, a smutne losy chrześcjaństwa, potrącanego nogą wzgardliwie przez Muzułmanów, losy Greków, Bułgarów i Serbów, traktowanych jak bydło pociągowe, usunęły się na plan drugi. Daremnie Skanderbeg z Albańczykami przez 23 lata (od 1443 do 1467 r.) wstrząsał nieumocnionym jeszcze gmachem tureckiego państwa i na wszystkie strony rzucał wezwanie do książąt chrześcjańskich: daremnie Jan Kapistran powtarzał to wołanie od stolicy do stolicy i głosił wojnę świętą. — Książęta chreścjańscy zapytywali: do kogo będzie należeć Konstantynopol?

I budowano zamki na lodzie, tworząc wielkie i piękne projekta. Zacytuję tylko jeden. Jan Albert, król polski, który miał się za wielkiego wodza, powziął zamiar wypędzenia Turków, zdobycia Konstantynopola i przyozdobienia się koroną cesarską. W celu tym wyruszył na

czele wielkiej armji polskiej (1496 r.) i haniebnie osiadł na koszu pierwiej jeszcze, nim granic tureckich dosięgnął, a to z tej prostej przyczyny, że brat jego rodzony, król Węgier i Czech, w pomoc mu nie przyszedł. Inni książęta chrześcjańscy mieli takie same projekta, ale nie mogli ich do skutku doprowadzić, z braku pomocy koronowanych „braci" (królowie zawsze tytułują się braćmi): pragnęli wprawdzie wojny, wypędzenia Turków i zdobycia Konstantynopola — ale na swój rachunek własny. Naprzód już zazdrościli jedni drugim, a zazdrość posuwali do tego stopnia, że Leopold I, cesarz niemiecki, odmówił żywności armji polskiej w obawie, ażeby wezwany na pomoc cesarstwa Jan Sobieski, który tą armją dowodził i okrył się chwałą przy odsieczy Wiednia, nie korzystał ze zwycięstwa na swój rachunek. Dla tychże samych racji królowie francuscy kojarzyli się z sułtanami.

Polityka europejska w stosunku do Turków ciążyła wyraźnie do Konstantynopola i na początku XVIII w., kiedy horyzont polityczny między Turcją a Niemcami wskutek pokoju w Passarowitz rozchmurzył się, Niemcy stanęły na czele ruchu ku brzegom, których widok, według legendy tureckiej, zasmucił Allacha. Niemcy były naturalnie przytrzymywane przez „braci", ale poważnego współzawodnika na ich drodze nie było. Korona św. Stefana spoczywała na głowie cesarza, a Polska, pielęgnowana przez Jezuitów, chorowała na anemję polityczną.

Jednakże współzawodnik nadciągał. Po za lasami, nie daleko źródeł Wołgi, po za obrębem europejskiego ruchu, powstało w połowie XIII w., państwo, które rozwijało się i rosło w cieniu. Państwo to nazywało się Wielkie Księstwo Moskiewskie, a książęta jego, potomkowie Ruryka, pretendowali do praw nad prowincjami ruskiemi, leżącemi w basenie Dniepru i stanowiącemi dziedzictwo rodziny. Prawa te były sporne; co jednak wątpliwości nie podlegało, to szczęście, które uśmiechało się państwu małemu i nieznanemu w początkach, a nadto oddalonemu od Europy. Znaczenie jego datuje się dopiero od XV w. W chwili upadku Konstantynopola, na tronie zasiadał Iwan III Wasilewicz, zwany Wielkim, a znany w historji z ostatecznego wyzwolenia się z jarzma tatarskiego i z wściekłości, z jaką zniszczył rzeczpospolitę słowiańską — Nowogród. Księstwo Moskiewskie w żaden sposób, ani pośrednio, ani bezpośrednio, nie uczestniczyło w obronie Europy od najazdu Turków. Nawet nie mogło uczynić tego wskutek zależności od Złotej Hordy i zbytniego oddalenia.

Mimo to Iwan III wziął udział w dążeniach politycznych do Konstantynopola w sposób szczególny. Kiedy inni książęta chrześcjańscy za broń chwytali, on zaślubił synowicę Konstantyna Paleologa, ostatniego cesarza bizantyńskiego, przyjął herb cesarstwa — dwugłowego orła, tytuł cara, co było

równoznaczne z tytułem cezara, występując w ten sposób, jako pretendent i dziedzic nie istniejącego cesarstwa. Wówczas nie pociągało to żadnych konsekwencji. Ażeby osiągnąć cel postawiony w sposób, jak się zdawało, fantastyczny, trzeba było, ażeby Moskwa utorowała sobie drogę przez Ruś i zbliżyła się do Europy. Fantazja Iwana „Wielkiego" urzeczywistniła się, dzięki okolicznościom, które wyliczać byłoby za długo tutaj. Moskwa zawładnęła Rusią, przywłaszczyła sobie nawet jej imię i przez to zbliżyła się do celu, wytkniętego przez pierwszego cara. Tak się oto zdarzyło, że Niemcy napotkały na swej drodze współzawodnika.

Współzawodnictwo owe, które nie sięga dalekiej przeszłości, gdyż nie przechodzi jednego stulecia, nie zdeklarowało się od razu wyraźnie. Piotr Wielki, cesarz Wszechrosji — taki nadał sobie tytuł — pierwszy z monarchów rosyjskich, atakował Turcję wręcz. Przypisują mu autorstwo sławnego testamentu, który wskazywał następcom drogę do Konstantynopola, podbój Turcji i władztwo nad światem. Utrzymują jednak, że to dokument podrobiony. Nie śmiałbym wypowiedzieć się decydująco w tej delikatnej materji; niepozostawiają jednak najmniejszego cienia wątpliwości głośne manifestacje, wskazujące wyraźnie Konstantynopol, jako punkt celowy wojny r. 1769, jak świadczy list pisany przez Katarzynę II do Woltera: „Co się zaś tyczy wzięcia Konstantynopola, nie sądzę, aby to się prędko stało; jednakże nie trzeba, jak mówią, nigdy rozpaczać".

Właśnie dla tego, ażeby nie zrzec się celu, zaznaczonego przez Iwana III, określonego przez Piotra Wielkiego, a który Katarzyna II wyraźnie w liście do Woltera wymieniła, Rosja kieruje wszystkie kroki swoje. Wojny następowały jedna po drugiej, z Austrją lub bez Austrji, z jednakowem hasłem, wypisanem na sztandarze: *za oswobodzenie chrześcjan*. Oswobodzenie owo odbywało się w ten sposób, że prowincje, kraje, miasta, znajdujące się pod panowaniem Turcji, przechodziły pod panowanie Rosji. Oswobodzenie chrześcjan stosowało się nawet do prowincji, w których chrześcjan nie było, np. do Krymu, i byłoby zastosowane do mieszkańców całego półwyspu Bałkańskiego, gdyby na drodze nie stawały wielkie przeszkody, a zdobywczym armjom rosyjskim nie brakowało tchu, aby się dostać do Konstantynopola, z drugiej zaś strony strwożona Europa nie stawiła zawady. Kwestję wschodnią określono dyplomatycznie dopiero teraz.

Mamy ją w chwili obecnej przed oczyma taką, jaką jest w istocie. Rozpoczęto wielką grę na szachownicy politycznej, grę, w której wypisane dawniej na sztandarze hasło zmieniło się. W początkach pojawienia się Rosji na teatrze kwestji wschodniej — na sztandarze pisano:

„obrona chrześcjan". Hasło to dała stolica apostolska i pozostawało ono przez wieki całe: adoptowała je Rosja, ażeby pokryć cele własne. Rzecz nie tyczyła się wcale narodowości: nie uznawano ich, ras nie uznawano również. Gabinet petersburski nie wiedział nawet, jakie rasy składają ludność cesarstwa rosyjskiego. Słowianami przeto nie interesował się zgoła. Byli to po prostu chrześcjanie, bez różnicy ras i tradycji miejscowych. Grecy, Rumunie, Albańczycy, Słowianie, a więc Serbowie i Bułgarowie byli traktowani jednako. Interesowali więc chrześcjanie; a ponieważ Austrja, mimo że katolicka, kiedy ludność półwyspu bałkańskiego do wschodniego należy obrządku, wystąpiła z godłami temi samemi, gabinet petersburski zaakcentował przeto tę różnicę, ażeby w obec chrześcjan Wysokiej Porty wystąpić, jako obrońca prawowierny. W ten sposób zaznaczył się pierwszy punkt współzawodnictwa — konkurencja Austrja stawała z godłem katolicyzmu, Rosja — ortodoksji; Katarzyna II w czasie wojny, kiedy podtrzymywała korespondencję z Wolterem, puściła pogłoskę między ludami półwyspu Bałkańskiego, że ma zamiar odbudować nie królestwo serbskie lub bułgarskie, ale cesarstwo greckie. Dla cesarstwa owego z góry był już przeznaczony z rodziny jej cesarz, wnuk jej Konstanty, którego w tym celu nazwano imieniem ostatniego bizantyńskiego cesarza.

Cóż było wynikiem tych pogłosek? Rozbudziła się mocna, głęboka agitacja między Grekami, agitacja wywołująca zamieszki, konspiracje, powstania. Grecy czując się zachęceni, popierani przez wielkie mocarstwo, nie ustawali w żądaniach, co było tem łatwiejsze dla nich, że Turcja zachwiana wojnami z Austrją i Polską, słabła coraz bardziej, szczególniej od chwili, kiedy się i Rosja przyłączyła do nich.

Wskrzeszenie Bizantyńskiego cesarstwa podobało się Grekom, podobało się bardzo, ale — było i „ale". Wspomnienia przeszłej wielkości nie były wyłącznie udziałem Greków. Słowianie półwyspu mieli także coś o tem do powiedzenia. Agitatacja udzieliła się i Słowianom, ale wcale nie na korzyść cesarstwa Bizantyńskiego. I oni mieli kiedyś cesarstwa swoje. Ponieważ Serbowie, dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, mogli za broń pochwycić pierwsi, a więc w ruchach wojennych, obok idei cesarstwa Bizantyńskiego, podniesiono także ideę cesarstwa Serbskiego. Obok Serbów stanęli jeszcze Czarnogórcy, Albańczycy, Rumuni — wszyscy z pewnemi wspomnieniami przeszłości i z chęcią odbudowywania czegoś. Powstał z tego chaos aspiracji narodowych z godłami, które nie figurowały ani na sztandarach Rosji, ani Austrji.

Podobny rezultat nie był przewidziany ani przeczuty nawet, przez gabinety petersburski i wiedeński. Chrześcjanizm podszył się narodowością. Potrzeba się było poddać temu tembardziej, że zasada narodo-

wościowa była właśnie postawiona z siłą niezwykłą. Należało stosować się do niej tak lub inaczej. Rzecz przedstawiała się z dwóch stron naraz: ze strony poddanych Porty Ottomańskiej, których pomoc w wojnie z Turcją była bardzo skuteczną i z tej, że gabinety europejskie były zaniepokojone postępem, jaki Rosja robiła w swoim pochodzie nad brzegi Bosforu; w aplikowaniu przeto zasady narodowościowej, względem rewoltujących się poddanych ottomańskich, dopatrzono środek neutralizowania rosnącej potęgi Rosji. Dla podtrzymania to tej ostatniej, podpisano akt, znany pod imieniem „londyńskiego protokołu", na mocy którego Grecja, ze strony Europy łącznie z Rosją była uznana wolną (luty 1830).

Przykład ten naśladowano potem. Rosja agitowała, wypowiadała wojnę, odnosiła zwycięstwo, okrywała się chwałą i szła naprzód; Europa wstrzymywała ją w zwycięskim pochodzie i wtrącała się do urządzenia stanu rzeczy na półwyspie Bałkańskim. Dwa razy była Rosja powstrzymana przed wrotami Konstantynopola w r. 1829 i 1878. Dyplomacja europejska czuwa, ażeby Konstantynopol, to najpiękniejsze dzieło Ałłacha, ten klucz półwyspu, to miejsce najważniejsze w Europie pod względem handlowym, politycznym, strategicznym, nie wpadł w ręce mocarstwa już i bez tego dość silnego, wielkiego i niebezpiecznego. Z tego powodu wtrąca się, zwołuje konferencje i kongresy i zawsze wspólnie z Rosją, uznaje czyny dokonane odnośnie do tworzenia się nowych państw i bierze udział w ich organizacji. W ten sposób powstały i zorganizowały się: Grecja, Rumunja, Serbja, Bułgarja i Czarnogóra.

Niesprzyja to wcale interesom Rosji. Interwencja ta wprowadza ją na błędną drogę, na którą nie wstąpiłaby zapewne, gdyby nie była zmuszoną. Zacytuję tylko błąd jeden, ale wielki i ciężki. Kiedy zasada narodowościowa zajęła miejsce w rzędzie zasad uwzględnianych w polityce celem osłaniania podbojów, wnet Rosja ogłosiła się słowiańską, słowiańską par excellence, słowiańską wedle ducha i prawdy, jedyną wyrazicielką idei słowiańskiej w najczystszem słowa tego znaczeniu, jedyną, najpewniejszą i najistotniejszą protektorką i oswobodzicielka wszystkich, którzy się Słowianami mianują.

„Wy wszyscy Słowianie, którzy cierpicie, chodźcie do mnie, albowiem we mnie jest pomoc".

Wezwanie to, nadto pospieszne i absolutne, ten miało skutek, że najprzód odsunęło narodowość grecką, rumuńską i albańską, następnie przyciągnęło do niej Słowian zanadto wiele i nareszcie zmusiło ją do występowania przy formowaniu i organizacji nowych państw bardziej wspaniałomyślnie a niekiedy liberalnie, jak najliberalniejszy w Europie kraj — Anglja. Następstwa wkrótce czuć się dały. Wezwanie do Sło-

wian ściągnęło młodzież serbską, następnie bułgarską, do szkół rosyjskich. Młodzi Bułgarowie przybywali, uczyli się i rozglądali na około siebie. I cóż dostrzegli?

Co dostrzegli? oto widzieli, że ta jedyna, najpewniejsza i najistotniejsza protektorka i oswobodzicielka wszystkich Słowian, natęża swe siły na zniszczenie słowiańskiego narodu, będącego pod jej panowaniem.

Oglądając takie rzeczy ciekawe i pouczające, wracali do ojczyzny, będącej jeszcze pod panowaniem tureckiem. Działo się to przed ostatnią wojną. Wojna sprowadziła im wolność kosztem ofiar pieniężnych, krwi i odwagi rosyjskiego żołnierza, wolność z konstytucją bardzo liberalną, instruktorów do uregulowania jej, pochodzących z kraju, w którym opinje i tendencje konstytucyjne traktowane są na równi ze zbrodnią stanu. W pierwszych chwilach entuzjazmu przyjęto wszystko: konstytucję, instruktorów i dobrodziejstwo niepodległości narodowej, spadłej jakby z wysokości niebios. Wystarczyło jednak niedługiego przeciągu czasu, aby poznać ukryte myśli, tkwiące w stosunkach panujących w Rosji, a wypływające z wrzekomej protekcji Słowian. Tego było dosyć, ażeby się im oczy otworzyły. Wodze państwa poruczono nieprzychylnemu Rosji p. Karawełowowi, człowiekowi, który właśnie w Rosji studjował wspaniałomyślny i prawdziwy slawizm rządu rosyjskiego. Rozpoczęły się przeto nieporozumienia między rządem bułgarskim a instruktorami i doprowadziły do zerwania w skutek rewolucji rumeliockiej, przygotowanej i podjętej poza obrębem projektów i planów gabinetu petersburskiego. Wiadomo w jaki sposób zerwanie owo wyraziło się: odwołaniem instruktorów, degradacją księcia bułgarskiego w armji rosyjskiej, pozbawieniem go dekoracji i głośnymi wykrzykami na niewdzięczność wydawanymi przez prasę oficjalną i pół-oficjalną. „Niewdzięcznicy!“ Za tyle dobrodziejstw i ofiar pozwolili sobie na własną działać rękę!... Czyż wolno niewdzięczność do tego posuwać stopnia?...

Zdaniem mojem, którego nie narzucam nikomu, największa korzyść otrzymana po dziś dzień z rewolucji rumeliockiej, jest zły humor petersburskiego gabinetu, który uwolnił Bułgarję od instruktorów rosyjskich. Obecnie w Petersburgu inną śpiewają piosenkę: w skutek zwycięstw bułgarskich chwalą młodą armję, a wartość jej przypisują — instruktorom. Ma to pozór chęci zainstalowania tych ostatnich na powrót.

Armja jej zachowywała się świetnie; książe doskonale pełnił swoje rzemiosło książęce. Pod względem tym nie ma nic do powiedzenia. Ale w tej chwili, kiedy wojna serbsko-bułgarska jest na ukończeniu, ciśnie się na usta pytanie, które wszyscy powtarzali sobie od chwili rozpoczęcia się wojny:

— Do czego ta wojna?

— Do czego? Odpowiedź nasuwa się sama. Chodziło po prostu o utrzymanie w wodzie mętów. Rybacy mącą w widokach połowu — a w sferach gabinetowych nie brak rybaków, co zarzucają sieci na piękną rybę: na Konstantynopol. Dla ryby takiej warto trud ten sobie zadać i pchnąć na siebie Serbów i Bułgarów, ażeby się za łby wodzili i mordowali wzajemnie.

Czyżby nie mogli oni żyć ze sobą w zgodzie?

Mogliby, gdyby dyplomacja zechciała uregulować stosunki polityczne na półwyspie w inny sposób, w sposób taki, ażeby od państw bałkańskich usunąć na zawsze plagę interwencji obcej. Tym czasem działa ona odwrotnie. Państwa bałkańskie są ukonstytuowane w widokach interwencji. Potrzebuje jej Austrja, potrzebuje Rosja: i Włochy nie odsunęłyby się przy zdarzonej sposobności, a zapewne znalazłyby się i inne mocarstwa, które nie pogardziłyby interwencją. Końcem tym porozgraniczano państwa, i postawiono na czele ich książątka małe nadmuchane aspiracjami wielkiemi. Myślicie może, że król Serbski przyjął tytuł króla dla przyjemności tylko noszenia tytułu? Prawda, piękny to tytuł. Król — Królewska Mość; Królowa — Jej Królewska Mość; dzieci — książęta i księżniczki krwi. To bardzo pięknie i o ile mogę przypuszczać — z doświadczenia tego nieznam — sprawia to zapewne wielką przyjemność. Król!... Ale być królem na wzór króla Yvetot (Béranger'a) żyjącego sobie wygodnie bez chwały — to nieco upokarzające. Trzeba się czemkolwiek wsławić, choćby odrobiną czynów jakichbądź, szczególniej jeżeli te czyny kupują się tanio: kosztem pieniędzy i krwi poddanych.

Dla tej właśnie przyczyny, Panowie, nie dla żadnej innej, Serbja napadła na Bułgarję. Mówią, że król Serbski popchnięty był do kroku tego. To rzecz możebna i nawet prawdopodobna, jeżeli weźmie się na uwagę pożyczkę w Länderbank'u, transporta broni i amunicji i poselstwo austrjackiego pełnomocnika, dla powstrzymania zwycięskiego pochodu wojsk bułgarskich, wypędzających armję najezdców. Czy Serbja była popchnięta, czy nie — mało to znaczy. Najważniejsza to, że wojna miała miejsce bez powodów dostatecznych, bez żadnej racji wytłumaczonej, wypłynęła z sytuacji, jako rzecz nieunikniona. Serbowie i Bułgarowie w równej mierze są sytuacji tej ofiarą. Postawiono ich w dawnych warunkach i oni zmuszeni są robić, co robili poprzednicy ich pięć, sześć, siedm, ośm i t. d. wieków temu nazad t. j. mordować się, mordować i mordować, ażeby łbami swymi słać drogę zdobywcy, który ich uspokoi tak samo, jak to uczynili Turcy. Smutna to rzecz, bardzo smutna, a byłaby rozpaczliwą, gdyby nie było lekarstwa na to. Wśród Serbów, Bułgarów, jak i Greków, błąka się idea konfederacji republikańskiej.

Jeśli idea ta urzeczywistni się, stracą wprawdzie Rosja i Austrja, ale zyska ludzkość. Ludzkość zyska kilka miljonów ludzi, krzepkich ciałem, żywych umysłem, hojnie obdarzonych pod każdym względem, którzy walcząc nie ze sobą, ale przeciwko siłom natury, posuwaliby naprzód postęp. Spodziewamy się, że to nastąpi i życzymy tego Serbom i Bulgarom z serca całego.

Polska w czasie wielkiej rewolucyi francuskiej
i wpływ tej ostatniej na nią

przez

Bolesława Limanowskiego.

(Ciąg dalszy)

Kiedy po trzytygodniowej limicie, rozpoczęły się w połowie lipca 1789 r. na nowo posiedzenia sejmowe, wieści o wypadkach w Paryżu zaczęły także dolatywać. Musiały one oddziaływać na wrażliwe umysły polskie i rzeczywiście oddziaływały. Biskupom już nie udało się wyjść tak obronnie z zapasów sejmowych, jak to udało się było starostom. Nuncyjusz papieski w dwóch depeszach, odradzając papieżowi wystąpienie ostre z powodu zapadłych w sejmie uchwał, tak przedstawiał stan rzeczy, podług streszczenia ks. Kalinki. „Wielka część posłów napojona jest fałszywemi zasadami: roznoszą je pisemka, któremi kraj zalany: złe usposobienie dla biskupów i kościoła widoczne. I tutaj niewiara zrobiła znaczne postępy: już to nie ci Polacy co dawniej! Przykład z nad Sekwany zaraża. Polacy zawsze uchodzili za naśladowców Francuzów: dziś pysznią się z tego, że im dają wzór. I tutaj proponowano francuskie nowości, ale im się na czas po cichu zaradziło. Kto wie, czy nie zaczną mówić o zniesieniu klasztorów, dziesięcin, anuatów, o skasowaniu trybunału nuncyjatury“. [1]) W sejmie najczęściej przypominał rewolucyją francuską Jezierski kasztelan łukowski. Na sesyi 10 sierpnia aż dwa razy powołał się na nią. „Strzeżmy się — mówił — przykładu Francyi

[1]) Str. 472. Tom I.

doświadczać, że tam w rządzie miarka zbytku przebrana, do desperacyi i ostatniego okrócieństwa naród przywiodła". [2]) Naród francuski — zauważał drugi raz — od wieków uciśniony zapalił się przeciw niesprawiedliwości, a nasz rozwiązłej wolności i swywoli dłużej cierpieć nie będzie". [3])

Głosy o potrzebie zreformowania konstytucyi stawały się coraz częstsze, i wreszcie na sesyi 7 września uchwalono w tym celu osobną deputacyję. Do składu jej weszło czterech ministrów: Ogiński hetman, Chreptowicz, Ignacy Potocki i Kossakowski, i sześciu posłów: Suchodolski, Moszyński, Działyński, Sokołowski, Wawrzecki i Weyssenhof. Przewodniczącym został biskup Krasiński, poważany powszechnie jako głowa konfederacyi barskiej. Nie wybrano ani Niemcewicza, ani Jana Krasińskiego, [4]) którzy najgorliwiej bronili włościan w sejmie. Wszakże skład deputacyi był dosyć pomyślny, zwłaszcza ze względu na obecność Chreptowicza i Ignacego Potockiego. Deputacyja wzięła się żarliwie do pracy i po trzech miesiącach, na sesyi 17 grudnia, przedstawiła *Zasady do poprawy rządu* w redakcyi Ignacego Potockiego. Główna dążność tych zasad polegała na zupełnem ześrodkowaniu władzy w sejmie, który proponowano wybierać na dwa lata, ażeby mieć go zawsze w pogotowiu. Oprócz stanowienia praw, sejm miał czuwać nad ich wykonaniem, pociągając do odpowiedzialności władze wykonawcze. *Zasady*, hołdując teoryjom fizyjokratycznym, przyznawały prawo wybierania posłów tej tylko szlachcie, która posiadała własność ziemską. Była to ich strona reakcyjna, ponieważ przez to zmniejszały w rzeczypospolitej liczbę obywateli politycznie równouprawnionych. Wprawdzie, chciały one za to uznać wszystkich mieszkańców kraju za obywateli wolnych i równych, oczewiście cywilnie tylko i zabezpieczyć prawa własności wszystkich. Projekt nowy znosił także *liberum veto* i konfederacyje; atoli wymagał jednomyślności instrukcyj poselskich dla praw kardynalnych, zadawalniając się w sprawach politycznych większością trzech czwartych a w innych ustawach zwykłą tylko większością. Wpływ Kołłontaja jest widoczny w *Zasadach*.

O ile stronę polityczną *Zasad* przyjęto z poklaskiem w sejmie szlacheckim; o tyle ganiono ich stronę społeczną. Projekt uległ ważnym w tym względzie poprawkom, które odebrały mu prawie wszelkie reformacyjne znaczenie. Wolność i równość zapewniono stanowi tylko szlacheckiemu; reszcie mieszkańców, którym odmówiono nazwy obywateli przyznano prawo własności i przyrzeczono opiekę rządu. W obronie

[2]) Str. 164. Tom X. Zbiór mów i t. d.
[3]) Str. 167. Tom X.
[4]) Dziad poety Zygmunta.

szlachty czynszowej wystąpiło stronnictwo tylko hetmańskie, ale i jemu o co innego chodziło jak o interes gminu szlacheckiego.

Pomimo to wszystko, myśl posuwała się coraz dalej w kwestyi włościańskiej. Odezwały się nawet głosy za udziałem włościan w reprezentacyi narodowej. [2]) Posłowie przyjmowali skargi od ludu wiejskiego i wytaczali je przed sejmem. [3]) Komisyjom porządkowym cywilno-wojskowym, które uchwalono w listopadzie, nadano ustawę, która pomiędzy innemi czynnościami polecała opiekować się włościanami, doglądać, aby plebani zajmowali się ich nauką po szkółkach, aby dziedzice dawali utrzymanie ubogim ludziom, którzy styrali swe siły, pracując na ich roli. I rzeczywiście komisyje te, przynajmniej znaczna ich część, uważały za swój obowiązek opiekowania się mniej lub więcej losem włościan. [4])

Zasady do poprawy rządu, uchwalone z poprawkami przez sejm, nie były żadnem prawem, żadną ustawą, jeno wskazówką, w jakim duchu i w jakim kierunku ustawa konstytucyjna ma być napisana. I dla tego też po części deputacyja nie bardzo broniła wniesionego projektu. Robiono jej także zarzut, że nie śpieszyła z pracą swoją. Czy powodowała się ona w tem jakiem rozumowaniem, nie wiem; ale rzecz to prawie

---

[2]) „Mówię — powiada autor Uwag ogólnych nad stanem rolniczym i miejskim — o projektowanym w tym czasie, przez wielu czcigodnych ludzkości uciśnionej obrońców, udziale reprezentacyi dla stanu chłopów w zgromadzeniu sejmowem. . Radzą ci przyjaciele ludzkości, aby chłopi już teraz, skoro za wolnych prawem cywilnem uznanemi zostaną, mieli reprezentantów stanu swojego“. (Str. 38). „Z ochotą do uczestnictwa samowładności narodu powrócony mieć żądano lud wiejski; ale najgorliwsi a rozsądni, względem stanu wiejskiego, przestawać musieli na tem, aby włościan, usuwając opiekę z pod przemocy, zbliżyć jak najrychlej do odzyskania także swobód obywatelskich“. (Str. 111 i 112. O ustanowieniu i upadku konstytucyi 3 maja. Lwowskie wydanie Księgarni Polskiej).

[3]) Npd. Na sesyi 13 kwietnia 1790 r. Kublicki popierał dwa memoryjały, wniesione przez włościan dóbr Stołowicz i dóbr Świniary przeciwko uciskowi posesorów. Sejm polecił marszałkom zalecić komisyjom cywilno-wojskowym, by nie pozwalały krzywdzić włościan.

[4]) Patrz artykuł p. Korzona: „Komisyje porządkowe cywilno-wojskowe wojewódzkie i powiatowe w latach 1790—1792. (Ateneum, marzec, 1882). Ma się rozumieć komisyje te pilnowały przedewszystkiem interesu szlacheckiego. lecz uważały także za obowiązek opiekować się nieco włościanami. I tak ukarawszy nieposłuszeństwo włościan dworom w starostwie Garwolińskiem i Czerskiem (trzeba przyznać, że bez zwykłego w takich wypadkach okrócieństwa), komisyja w doniesieniu swojem królowi o wykonanym wyroku dodała: „Lecz Najjaśniejszy Panie! pozwól aby taż magistratura przypomniała tę część ludu ojcowskiemu sercu: podczas lustracyi 1789 r. sejm kazał lustratorom spisać krzywdy gromad: lustratorowie to dopełnili; oddali Komisyi Skarbowej; rok schodzi 1791, a Komisya Skarbowa żadnego w tym kroku nie czyniąc, zaniedbaniu krzywdy włościan starostw ziemi naszej oddała“. (Str. 445).

pewna, że zwłoka bywa korzystną, kiedy wiemy z góry, że przedstawiona sprawa napotka trudną do zwalczenia opozycyją. W samej rzeczy, im sejm trwał dłużej, tem stawał się powolniejszy dla wielu rzeczy, na które początkowo zżymał się ogromnie. Wpływało na to wiele przyczyn, ale niezawodnie jedną z najsilniejszych była rewolucyja francuska. Dowodem tego rozwój sprawy mieszczańskiej. Dosyć przeczytać mowy i dokumenty, dotyczące tej sprawy; dosyć zastanowić się uważniej nad agitacyją, która rozwinęła się w tej sprawie, ażeby powziąść stanowcze przekonanie, że rewolucyja francuska odegrała w niej ważną rolę bodźca moralnego. Zresztą, inicyjatorowie i agitatorowie tej sprawy sami to wyraźnie wskazywali, powołując się często na przykład rewolucyi francuskiej.

Rozprawy sejmowe o podatkach miejskich poruszyły także stronę polityczną znaczenia miast w Rzeczypospolitej. Uczynił to ze zwykłą sobie pochopnością Julijan Niemcewicz w dniu 13 października. Kiedy odpowiadając mu, Suchodolski wspomniał rewolucyję duńską, w której mieszczanie przyczynili się do powiększenia władzy królewskiej, Kublicki wskazał na rewolucyję francuską i wcale odmienne jej skutki. Mowy te nie przebrzmiały daremnie, tembardziej, że poza sejmem znaleźli się ludzie, którzy energicznie zajęli się tą sprawą. Byli to Kołłontaj, jego prawa ręka ks. Franciszek Jezierski, prezydent miasta Warszawy Jan Dekiert, adwokat Mędrzecki i Fr. Bars, bankier Kapostas, prawnik Trębicki, Rafałowicz, Paschalis i inni.

Ks. Franciszek Jezierski, Wulkan gromów kuźnicy Kołłontajowskiej — jak się wyrażali o nim Wolski i Turski — zasługuje na bliższą z nim znajomość.

Jezierski urodził się w 1738 r. i pochodził ze szlachty łukowskiej. Życie jego było w młodości dosyć burzliwe. Ojciec chciał go poprowadzić swemi ślady i zrobić prawnikiem. Ale zawód ten nie podobał się młodemu człowiekowi: jemu uśmiechała się wojaczka, pełna wrzawy, swobody, hulanek. Przesyciwszy się tem życiem i straciwszy majątek, wstąpił do zgromadzenia Misyjonarzy w Warszawie. Odtąd, pracując nad sobą i czytając wiele, zaczął więcej myśleć o społeczeństwie, aniżeli o sobie. Po ukończeniu seminarjum, zwiedził Włochy. Wróciwszy do kraju, przez czas pewny pomagał Naruszewiczowi do zbierania i porządkowania materyjału historycznego. Następnie otrzymał kanoniję w Kaliszu i zasłynął tam jako wymowny kaznodzieja. Komisyja edukacyjna, chcąc zużytkować jego zdolności, powołała go najprzód na rektora szkoły akademickiej w Lublinie a następnie na wizytatora generalnego szkół. Rychło jednak naraził się swoją prawdomównością, która była wybitnym rysem jego charakteru, i stracił posadę. Powołany w 1785 r.

czasowo na bibliotekarza w Krakowie, doznał tam niesprawiedliwości i tak jak Kołłontaj przeniósł swoją czynność na inne pole.

Wybrany przez kapitułę krakowską na deputata do trybunału koronnego, osiadł w Warszawie, a podzielając polityczno-społeczne przekonania Kołłontaja i zostając z nim w zażyłości od czasów jeszcze krakowskich, związał się z nim ponownie węzłami ściślej przyjaźni i pracy publicznej. Wymowny, dowcipny, pięknym i płynnym stylem władający, krzewił on słowem i piórem nowe zasady rewolucyjne, których stał się żarliwym zwolennikiem. Prawdomówność nadała im pewną jaskrawość. Przewodził on w klubach, które za przykładem Paryża zaczęto formować w Warszawie i wyjaśniał tam kwestyje polityczne i społeczne. [5]) Dziełko opata Sieyes'a o stanie trzecim spolszczył i pomiędzy mieszczanami rozpowszechniał.

Fr. Jezierski był płodnym pisarzem. Wiele rzeczy pisał na współkę z Kołłontajem, a przynajmniej ten ostatni często podsuwał mu myśli i wygładzał styl; dla tego też przez długi czas przypisywano niektóre jego dzieła Kołłontajowi. Jezierski był publicystą we wszystkich swych utworach, tak w powieściach czyli raczej przypowieściach (Goworek — 1789 r. i Rzepicha — 1790 r.), w których walczył przeciwko możnowładztwu, jako też w znakomitej satyrze na rząd i porządki polskie. [6])

Przytoczę tu pierwsze jej stronnice, ponieważ pozwala nam wejrzeć w głębie przekonań radykalnych owego czasu, a przytem jest bardzo mało znana naszemu ogółowi. [7])

---

[5]) „Były istotnie w stolicy tajemne zebrania ekscentrycznych opinii patryjotów i rozprawiono tam w materyjach społeczno-politycznych o prawach człowieka, o potrzebie zrównania stanów i wyrzucenia nawet wyrazu stan z narodowego słownika, a nadania wszystkim bez wyjątku na ziemi naszej żyjącym nazwy obywateli. Wreszcie zaledwo nie wszelkie różnobarwne utopije rewolucyjonistów francuskich rozbierane tam były. Samąż nawet konstytucyją 3 maja i inne ustawy z nią łącznie i przez sejm uchwalone, uważano jako wypadki tymczasowe, przygotowujące tylko umysły do wyższej doli dla całej społeczności: w tych zebraniach najczęściej przewodzić miał ksiądz Jezierski, powiernik Kołłontaja i prawa jakoby jego ręka". Str. 40. Wspomnienia z r. 1788 po 1792.

[6]) Tytuł jej pełny: „Katechizm o tajemnicach rządu polskiego, jaki był około r. 1735 napisany przez J. P. Sterne w języku angielskim, potem przełożony po francusku a teraz nakoniec po polsku w Samborze w Drukarni Jego Ces. Król. Apost. Mości. Roku 1790 — 10 stycznia.

[7]) Do tego stopnia mało znana, że gdy przed dwoma laty „Kuryjer Lwowski" z podziwieniem pisał o tym znalezionym u jakiegoś antykwarjusza „białym kruku" w przypuszczeniu, że istotnie było to dzieło cudzoziemca, „Dziennik Poznański" i „Kraj" w Petersburgu powtórzyły dosłownie tę wiadomość bez żadnych zastrzeżeń i uwag ze swojej strony.

Pytanie. Jaka jest postać polityczna Polski?

Odpowiedź. Polska jest Królestwem, Bezkrólewiem, Rzeczpospolitą.

P. Kto stworzył Rzeczpospolitę?

O. Przywileje i nierząd.

P. Kto trzyma władzę prawodawczą i wykonawczą w Reczypospolitej?

O. Król, senat i rycerstwo, trzy stany a jeden szlachcic.

P. Król jestże szlachcicem?

O. Jest.

P. Senator jestże szlachcicem?

O. Jest.

P. Poseł jestże szlachcicem?

O. Jest.

P. Więc te wszystkie trzy stany są tylko jednym szlachcicem?

O. To jest tajemnica nigdy niepojęta rozumem, że Rzeczpospolita, nie mając tylko jeden stan szlachecki do swojego rządu, przecież z tego stanu zrobiła trzy stany tak cudownym sposobem, jako i to, że z jednej króla pojedyńczej osoby ma także jeden stan zupełny.

P. Wszakże z tego daje się widzieć, że cały Majestat rządu polskiego jest tylko rzeczpospolitą szlachecką?

O. To jest jawna pewność, że w narodzie polskim kto nie jest szlachcicem, nie może być człowiekiem.

P. Jakże, czyliż prawa natury i własności mogą się odmieniać przez konstytucyję rządu polskiego?

O. Gdzie idzie o powagę stanu szlacheckiego w Polszcze, tam wszystkie takie proste i drobne prawa jako prawo natury i własności ustępować muszą.

P. Chłop rolnik w Polszcze nie jestże człowiekiem?

O. Zapewne, nie jest.

P. A jakże kiedy on ma duszę i ciało i jest takąż osobą z przyrodzenia jak szlachcic?

O. Chłop w Polszcze nie ma tylko przymioty duszy i ciała, ale zaś osoba jego nie jest człowiekiem, ale rzeczą własną szlachcica, który będąc panem jednowładnym chłopa, może go przedawać i kupować, obracać na swój pożytek, tak jak bydło przedaje się folwarkami i z opisami inwentarzów.

P. Mieszczanin czyli jest człowiekiem?

O. Mieszczanin nie jest zupełnym człowiekiem, ale jest pośredniczem jestestwem między człowiekiem szlachcicem a nieczłowiekiem chłopem. Mieszczanin, mówiąc językiem teologji, jest substantia incompleta.

P. W czemże mieszczanin podobny do szlachcica?

O. Co do majątku, wygody życia, edukacyi, jest ze wszystkiem jak szlachcic, i szlachcic się nie różni od niego w tej mierze, tylko orderami, herbami i mundurami wojewódzkiemi, nawet szlachcic kłania mu się, potrzebując pieniędzy pożyczyć.

P. Czemże mieszczanin zbliża się podobieństwem do chłopa nie-człowieka w Polszcze?

O. W tem, że mieszczanin nie może posiadać wszystkich władz ozdabiających naturę człowieka.

P. A to dla czego?

O. Bo mu prawo przeszkadza, i tak naprzykład nie może dostąpić pewnych stopniów powołania w religii, bo jemu prawo zakazuje być opatem zakonnym i biskupem dyecezyi; nie może mieć cnoty męztwa, bo jemu nie wolno być oficerem; nie może radzić swej ojczyźnie; nie może być gospodarzem rolniczym, bo mu zakazane dziedzictwo ziemi; słowem urodzenie mieszczanina w Rzeczypospolitej nie ma ani stanu, ani jest w rzędzie obywatelstwa.

P. Taką rzeczą w Polszcze nie muszą być mieszkańcy w polskich miastach?

O. Mieszkańcy w polskich miastach powinni tak się uważać, jak miasta krajowe. Miasta składają się z nazwisków swoich i z gruzów, a mieszkańcy ich są okryci zaszczytami praw dawnych, pogardą ustawiczną od szlachty i uciskiem od starostów.

P. Kto pierwsze potrzeby kramarstwa, rzemiosła i szynków zastępuje w tak obszernym kraju?

O. Żydzi, ponieważ względem ich liczby, ledwo jest dziesiąta część narodowych osób, coby się tem bawili.

P. Co jest przyczyną tego?

O. To, że wszystkie kramarstwa i rzemiosła są rzeczą tak zakazaną szlachcie przez powagę ich stanu, jak są zakazane grzechy przykazaniem boskiem i prawem natury. A że profesyje życia miejskiego są tak wzgardzone, żydzi mając dowcip przewrotny, podłość i wytrzymałość w ohydzie, zastępują stan miejski z łatwością.

P. Więc traci szlachcic zaszczyt swojego stanu, gdy jest użytecznym społeczeństwu przez swoje rzemiosło albo kramarstwo?

O. Tak jest, ponieważ w Polszcze nie tak poniżone złodziejstwo i szalbierstwo, jak kramarstwo lub rzemiosło.

P. Zdaje się, że z takich przyczyn powinienby stan szlachecki być najnędzniejszy?

O. Powinienby być najbogatszy, gdyż stan szlachecki w Polszcze jest to samo, co jednowładny monarcha na tronie.

P. Objaśnij to wyraźniej.

O. W Polszcze szlachcic jest dziedzicem ziemi, jest jednowładnym panem, nie mając nad sobą zwierzchnika, tylko prawo, które sam sobie stanowi i którego nie słucha, kiedy mu się podoba, mając z niem poufałość zwyczajną jako ze swojem własnem dziełem.

P. Kto stanowi podatki?

O. Stan szlachecki nakazuje podatki, wypłaca zaś ich chłop, mieszczanin, żyd i ksiądz, bo jakże sobie samemu ma podatki nakazywać; jeżeli co da, to się nazywa ofiarą, aby była różnica panującego od poddanych.

P. Cóż więcej ma stan szlachecki?

O. Stan szlachecki jest posiadaczem dóbr królewskich, dóbr prawem kaduka spadłych, dóbr przez prawo konfiskaty zabranych; słowem, król, panujący przez powagę dostojeństwa, wszystko powinien rozdawać, a stan jednowładny szlachecki zabierać". [8])

Tak samo dowcipnie i trafnie Jezierski określa władzę królewską i władzę hetmańską, sądy, wolność i równość szlachecką, wreszcie przypadłości Rzeczypospolitej.

„Kraj polski — powiada satyra — rzadko cierpi przypadki nieszczęścia pochodzącego z natury, niemasz szkodliwego trzęsienia ziemi, rzadko kiedy się trafia powietrze, głód jest nieznajomy, wojna niepodobieństwem.

P. Jakto wojna jest niepodobieństwem?

O. Bo choćby wzięto Polakom Prusy, część Małopolski i część Litwy, to te wszystkie zabory stać się mogą bez wojny, bez rozlania krwi i bez odwiedzenia kurka u flinty.

P. Jakież Rzeczpospolita ma przypadki nieszczęścia?

O. Ma swoje własne, oddzielne od innych narodów, jako to: Bezkrólewia, konfederacyje, elekcyje, poparcie elekcyjów, pacyfikacyje, amnestyje; temi układami swego rządu tak się zmorduje i osłabi Rzeczpospolita, że jej to wystarczy za trzęsienie ziemi, za powietrze, za wszystkie skutki szkodliwej wojny". [9])

Wreszcie autor kończy swoją satyrę wyznaniem wiary rządu polskiego, ułożonem na wzór modlitwy: „Wierzę w Boga".

Kwestyja równości politycznej mieszczan ze szlachtą była dla Jezierskiego kardynalną. „Potrzeba — pisze w 1790 r. — aby stan szlachecki z stanem miejskim miał równą powagę prawa w majestacie

[8]) Str. 1—5.
[9]) Str. 10 i 11.

władzy prawodawczej i wykonawczej". [10]) Dla pospólstwa „to jest osób nieposiadających dziedzictwa tylko własne siły", żądał jeno opieki prawa. Kiedy sejm szlachecki zaczął obdarzać hojnie mieszczan bogatych nobilitacyjami, Jezierski w dziełku p. t. „Głos naprędce do stanu miejskiego" przestrzegał mieszczaństwo, ażeby się nie dało uwieść tym nowym fortelem szlacheckim, obawiając się, ażeby szlachta, pozbawiwszy stan miejski wydatniejszych przywódców, nie osłabiła tem ruchu wszczętego w sprawie mieszczańskiej. [1])

Kołłontaj i Jezierski podejmowali walkę o prawa polityczne mieszczan z poczucia słuszności tej sprawy, ze zrozumienia potrzeby pomnożenia liczby czynnych obywateli Rzeczypospolitej, chociaż sami przez urodzenie, ani przez zawód do stanu miejskiego nie należeli. Byli jednak i w stanie miejskim ludzie, którzy z całą samowiedzą dążyli do odzyskania utraconych swych praw. I należy zauważać, że ci rzeczywiści przedstawiciele stanu miejskiego, tacy Dekiert, Mędrzecki, Bars, Kaptostas, Trębicki chociaż z urodzenia szlachcic, brali się do rzeczy praktyczniej i popierali prawa mieszczan nie tyle wywodami teoretycznemi, ile powoływaniem się na przeszłość, na historyją, na posiadane dawniej a zapomniane później prawa.

Powaga Jana Dekierta, prezydenta miasta Warszawy, była wielka pomiędzy mieszczaństwem. Bez pomocy jego, o wiele trudniej byłoby poruszyć mieszczan do czynnego wystąpienia. Żądania jego były bardzo umiarkowane, chodziło mu głównie o usunięcie jurysdykcyi starostów nad miastami i o reprezentacyją. [2])

---

[10]) Jarosza Kutasińskiego, herbu Dęboróg, szlachcica łukowskiego, uwagi nad stanem nieszlacheckim w Polsce (1790 r.).

[1]) Czy szlachta istotnie powodowała się zamiarem podobnym, należy wątpić, zwłaszcza że pomiędzy szlachtą odzywały się także głosy przeciwko szafowaniu nobilitacyj (głos posła wiłkomierskiego, Tadeusza Kościałkowskiego, 9-go listop. 1790 r.). Czy nie słuszniejszą była uwaga korespondenta z Warszawy do „Mercure Historique et Politique" w Brukseli, który 9 grudnia 1790 r. pisał, że za każdy dyplom szlachecki płacono 500 dukatów, a za każdy dyplom indygienatu 1,000 dukatów, i że z tego powodu sejm je mnożył?

[2]) W zbiorze mów i pism niektórych w czasie sejmu stanów skonfederowanych — Roku 1790 w Wilnie — był wydrukowany list Jana Dekierta prezydenta miasta Warszawy do J. W. Stanisława Małachowskiego d. 3 października 1790 r. w wiliję śmierci tegoż Dekierta pisany. Prawdopodobnie, nazwisko Dekierta figurowało dla spopularyzowania tylko listu. „Mówią powszechnie — powiada ten list — że kogo Pan Bóg chce karać, tego zaślepi. Daj Boże! aby Rzplita nie znalazła się nigdy w takowym przypadku! Ale zdaje się, że nie chce widzieć, iż stan jej teraźniejszy powinienby ją uczynić bardziej względną na mieszczan dla tego samego, aby się kraj zamógł w własny majątek... Daj Boże! żebym był fałszywym prorokiem, żeby desperacyja nie zapędziła mieszczan do

Do wydobycia świadectw historycznych, jakiem było dawniejsze znaczenie stanu miejskiego w Rzeczypospolitej, najwięcej przyczynił się Adam Mędrzecki, z powołania adwokat. Ogłosił on w tym przedmiocie kilka dzieł drukiem, [11]) a jedno z nich (Prawa miast polskich do władzy prawodawczej, wykonywującej i sądowniczej), przedstawione deputacji sejmowej, służyło w sprawie mieszczańskiej jako główna podstawa jej prac. Mędrzecki wykazał, że aż do śmierci Zygmunta Augusta miasta brały udział w prawodawstwie, w uchwalaniu podatków, w elekcyi królów; że mieszczanie mieli prawo nabywania dóbr ziemskich; że szlachta nie odgradzała się tak szczelnie od mieszczan, jak to w późniejszych czasach robiła. Mędrzeckiemu miał pomagać w pracy Franciszek Bars, także prawnik warszawski, który w późniejszym czasie wydatną rolę odegrał na arenie politycznej.

Oprócz wymienionych, ważne usługi oddali sprawie mieszczańskiej Jędrzej Kapostas, który agitował także w bardzo ważnej sprawie założenia banku narodowego, [12]) i Antoni Trębicki, przyjaciel Kołłontaja, prezydent klubu konstytucyjnego i autor ważnego prawniczego dzieła, [13]) we wstępie do którego domagał się rozszerzenia praw na wszystkie stany i polepszenia losu włościan. *(C. d. n.)*

---

wymagania kiedyś daleko więcej nad to, o co teraz pokornie tylko proszą. Jeżeli Rzplita miast nie zapomoże, a według swoich potrzeb podatkami ich okładać będzie musiała, natenczas lud zniszczony wpadnie w nędzę, nic nie da, bo nic nie będzie miał do dania, nie da Rzplitej, od której jest teraz właśnie jakby wyłączonym. A jeżeli go mocą uzbrojoną do tego będzie przymuszać, daj Boże! aby nie spotkało to was przez rozpacz, co spotkało szlachtę francuską od zapędów ludu zbyt uciśnionego, i żeby się nie spełniło owo słowo Boże: że ten będzie poniżony, kto się wywyższa. (Str. 330 i 331).

[11]) 1) Wiadomość o pierwiastkowej miast zasadzie w Polsce i t. d. (Warszawa, 1789 r.);

2) Zbiór praw, dowodów i uwag z treści tychże wynikających dla objaśnienia zaszczytów stanowi miejskiemu ex juribus municipalibus służących i t. d. (Warszawa, 1789 r.) i

3) Prawa miast polskich do władzy prawodawczej, wykonywającej i sądowniczej i t. d. (Warszawa, bez roku).

[12]) Prawdopodobnie on to napisał broszurkę: „O banku narodowym w Polsce ustanowić się mającym“.

[13]) Prawo polityczne i cywilne korony polskiej i wielkiego ks. litewskiego, tj. nowy zbiór praw obojga narodów od r. 1347 aż do teraźniejszych czasów (2 t. Warszawa, 1789—91).

Położenie włościan i własności ziemskiej w XIX wieku w W. Ks. Poznańskiem.

Przez **K. D.**

(Ciąg dalszy).

§ 4. Prawa agraryjne.

Wszystko co było wyżej powiedziane o wpływie czynników przyrodzonych, następnie o uprawie roli, jej produkcyjności etc., a wreszcie cyfry wskazujące nam rozkład sił produkcyjnych w prowincji Poznańskiej mają jedno na celu: przedstawić całokształt warunków przyrodzonych i socjalnych, które oddziaływują w specyficzny sposób na stan własności rolnej.

Stan tej własności w ogóle, a w szczególe podział jej pomiędzy dwie klasy — panów i włościan, oto jest należyty wskazownik dla określenia położenia klas rolnych, w obec ogólnych warunków, jakeśmy powyżej rozpatrzyli. Ale, jak też wyżej było orzeczonem, był jeszcze jeden bardzo ważny czynnik: *prawa agraryjne pruskie*, które wywarły stanowczy wpływ na stan i na transformację własności ziemskiej. Prawa te, ze względu na ukonstytuowanie się własności rolnej w XIX wieku, odegrały właściwie rolę wielkiej machiny, która urobiła z danej materji nowy przedmiot, nadając tej materji inną formę i układając w odpowiednim porządku jej składowe części.

Zobaczmy, jakie to były główne dekrety i postanowienia, których zbiór znanym jest pod jedną ogólną nazwą „Agrargesetze", jaką była tendencja i wybitna idea tej akcji prawodawczej?

Prawa agraryjne obejmują w Poznańskiem dwa główne perjody: jeden od 1823 do 1859 r., drugi po roku 1859.

Główne dekrety są następujące:

1) Dekret z dnia 8 kwietnia 1823 r. zwany *Regulirungsedikt*, ma on na względzie gospodarstwa włościańskie, posiadające przynajmniej 1 zaciąg.

2) Postanowienie z dnia 10 lipca 1836 r., które przepisuje regulację dla wszelkich kategorji włościan, nawet dla „Lassiten", którzy wówczas znajdywali się na najniższym szczeblu drabiny społecznej, zmuszeni bowiem byli odrabiać *6 dni pańszczyzny w ciągu tygodnia.* [1])

---

[1]) p. Meitzen. Ibid. T. IV 421.

3) Prawo z dnia 2 marca 1850 r. („Gesetz betreffend die Ablösung der Reallasten)“, które znosiło wszelkie powinności i obligacje włościan względem panów.

Dodajmy do tego parę praw dopełniających.

4) Prawo z dnia 26 kwietnia o *Bankach Rentowych*. [1])

5) Prawo z dnia 15 kwietnia 1857 r., które uzupełniało prawo z dnia 2 marca 1850 r., zastowując to ostatnie do dóbr należących do duchowieństwa i publicznych instytucji. Oto były główne prawa i postanowienia, które miały na celu zaprowadzenie własności ziemi i wolności osoby w całej klasie włościańskiej.

Zobaczmy teraz, jak prawa te zostały zastosowane?

Zawierały one następujące ważne przepisy:

a) Dla dokonania regulacji oceniano w pieniądzach wartość ziemi, posiadanej przez włościan, z czego odtrącano wartość powinności i obligacji włościan względem panów, zamieniając takowe także na pieniądze.

b) Według prawa z 1823 (art. 15) indemnizacja mogła być wypłaconą w pieniądzach, lub też ziemią, zbożem, inwentarzem.

---

[1]) „Rentenbanken“, zaprowadzone były w odrębnych prowincjach na podstawie edyktu z dnia 24 czerwca 1850 r. celem ułatwienia spłaty powinności i zaległości włościan względem panów.

„Listy obligacyjne“ nie były, jak w Rosji, formą wypłaty panom, mającą za sobą siłę prawa; przeciwnie, panowie mogli takowe przyjmować lub nie. Był to rodzaj względnego kredytu, przy warunkach niezbyt ciężkich (4%, i $^1/_2$% dla amortyzacji na 56 $^1/_2$ lat), miał tylko tę złą stronę, iż był otwarty zbyt późno, bo we 30 lat prawie po ogłoszeniu pierwszych praw agraryjnych.

„Landes-Kredit-Verein“ założony w 1857 r. w Poznaniu miał dla włościan jeszcze mniej znaczenia, z powodu nast. okoliczności. Aczkolwiek dawał pożyczki w pieniądzach wszelkim rodzajom własności rolnej, bez różnicy panom lub włościanom, lecz przy nast. warunkach:

1) Ziemia winna była być własnością absolutną;

2) Nie powinna była być obciążoną żadnemi długami;

3) Minimalna jej wartość winna była wynosić 5,000 talarów.

Pomijając już pierwsze dwa warunki, zauważmy, co się tyczy trzeciego, iż cena przeciętna ziemi włościańskiej, oparta na ówczesnej hipotece wynosiła za morg $37,_3$ talarów (patrz Meitzen Ibid. T. IV str. 205), i że biorąc za normę przeciętnej wielkości sprzężajnego gospodarstwa nie 20—30 morgów ale trzy razy więcej, tj. 100 morgów, otrzymamy w rezultacie wartość 3,730 talarów, co jeszcze dalekiem jest do 5,000 talarów. Przytem nie zapomnijmy, iż założenie „L.-Kr.-Verein“ miało miejsce w chwili, gdy sprzężajne gospodarstwa weszły już na drogę parcelacji, a w takim razie, uznamy, iż ta instytucja mogła być pożyteczną dla bardzo małej cząstki sprzężajnych gospodarstw tj. dla najbardziej bogatych włościan właścicieli, w ogóle zaś dla całej klasy włościan właścicieli nie miała prawie żadnego znaczenia.

Następnie, rezolucje zaprowadzające bezpośrednio zmianę w dawniejszych zasadach własności:

c) Wolne i nieograniczone prawo własności do ziemi, przyznane włościaninowi, wraz z prawem sprzedaży i z prawem podziału ziemi, bądź drogą zamiany, lub też drogą dziedzictwa, bez żadnej w tym względzie restrykcji.

d) Zniesienie wszelkich praw serwitutowych, nawet prawa zbierania oczeretu w stawach (wedle edyktu z dnia 2 marca 1850 r.) i seperacja gruntów włościańskich od pańskich, jako „conditio sine qua non" regulacji.

Co się tyczy sposobów i środków wykonania reformy włościańskiej, winiśmy zauważyć dwie bardzo ważne okoliczności:

e) Państwo nie przedsiębierze żadnej interwencji na drodze finansowej, zostawiając w tym ważnym punkcie jak najszersze pole swobodnej tranzakcji między panem, a włościaninem.

Aż do 1850 r. uregulowanie kwestji włościańskiej pozbawionem było wszelkiej pomocy i wszelkiego kredytu, uorganizowanego przez państwo. [1]) Do tej chwili nie było ani banków miejscowych, ani towarzystw kredytowych, mających na celu interesy włościan, aczkolwiek art. 13 prawa z 1816 r. zawierał projekt „Towarzystwa Kredytowego", który w przeciągu kilkudziesięciu lat z rzędu pozostawał też w stanie projektu. A przytem dodać należy, iż wedle prawa z 1823 r., komisarze włościańscy, którym poruczonem zostało wykonanie reformy, pozostawiali całą sprawę regulacji (tj. otaksowanie ziemi i powinności, sposób indemnizacji etc.) swobodnej umowie pomiędzy panem a chłopem i wówczas tylko gdy umowa nie mogła dojść do skutku, interwenjowali z prawa, celem uregulowania wzajemnych powinności i odseparowania gruntów.

Takiemi były główne podstawy reformy agraryjnej. Pozostawiając na stronie dwa pierwsze punkty (*a*) i (*b*), widzimy w obec zupełnego rozprzężenia dawnego systemu „gospodarstwa naturalnego" („Naturalwirthschaft") dwie uwydatniające się cechy: wolną, niczem nie ograniczoną aljenację własności chłopskiej i zupełną neutralność państwa w wielkiem dziele emancypacji włościan.

Państwo ogłasza prawa, lecz po za obrębem tego pozostaje zupełnie głuchem na potrzeby włościan, nie daje im żadnego kredytu i całkowicie zapomina o obowiązującej dla niego roli przedstawiciela interesów społeczeństwa. Daje to nam à priori wyobrażenie o sytuacji, w jakiej się powinna była znaleść w przyszłości własność włościańska.

[1]) Patrz uwagę na stronicy 201.

Przejście radykalne od jednego systemu gospodarstwa do drugiego, które nie pozostawiało najmniejszych śladów dawnych stosunków sprowadziło mobilizację własności z natury swej bardzo złożoną.

Tak mała jak i wielka własność weszły w nową fazę rozwoju.

§ 5. Statystyka własności ziemskiej. [1])

Powierzchnia całej prowincji Poznańskiej wynosi 11.389,662 morgów magdeburskich. Na całej powierzchni znajduje się 10.876,226 ziemi uprawnej, która jest podzieloną pomiędzy stan włościański i klasę uprzywilejowaną w sposób następujący:

6.972,419 mor. mag. zajmują: „Rittergüter", domeny, dobra duchowieństwa etc.; 4,003.807 mor. mag. stanowi własność włościańską. [2])

---

[1]) Pierwsza ankieta dokonana przez władze pruskie celem zbadania stanu mobilizacji własności ziemskiej, miała miejsce w 1838 r., obejmowała krótki perjod 1823—1837 r. i była wedle orzeczenia „Zeitschrift d. Preus. Stat. Bureau „(V Jahrgang) bardzo niewystarczającą, gdyż opierała się na cyfrach niedostatecznych i na faktach niepewnych.

Druga zarządzona w 1852 r., miała za cel zbadać: ilość i obszary Rittergüter, Sge Nahrungen i gospodarstw włościańskich nie-sprzężajnych, oraz ilość własności włościańskich, które uległy parcelacji podczas perjodu 1823—1852 r. i w skutek tego zachowały lub też utraciły charakter sprzężajnego gospodarstwa.

Trzecia zarządzona na podstawie rezolucji, przyjętej przez Izbę Panów 10 maja 1859 r., celem zbadania: ilości gospodarstw sprzężajnych w 1823 i 1859 r.; przyczyny różnicy w ilości sprzężajnych gospodarstw pomiędzy temi dwoma datami; nakoniec ilość gospodarstw włościańskich, nie mających charakteru „sprzężajności", czyli tak zwanych „Kleinländliche Stellen".

Czwarta dla perjodu 1860—67 r.

Po tej ostatniej miały miejsce tylko cząstkowe ankiety, zarządzane przez władze miejscowe i dotyczące odrębnych prowincji, lub powiatów.

Najważniejszą jest trzecia. Zredagowaną jest w formie memorjału przez Ministerjum Rolnictwa i ogłoszoną w publikacjach biura statystycznego berlińskiego (Jahrbücher und Zeitschriften), jako też w dziele Meitzena „Der Boden etc." Nosi tytuł „Die Veränderungen welche die Spanfähigen bäuerlichen Nahrungen in 6 östlichen Prowinzen und in der Prowinz Westfalien durch die Bodenbewegung während des Zeitraumes von 1816 (resp. 1823 für Posen) bis Ende 1859 nach Ausweis der im Jahr e1860 aufgenommenen Matrikeln erlitten haben".

Nie mówimy tu o ogólnej ankiecie z 1875 r., na sprawozdanie której zatytułowanem „Die Lage der Ländlichen Arbeiter" często powoływaliśmy się, gdyż prawie wyłącznie dotyczy ona sytuacji robotników rolnych, a nie własności włościańskiej.

[2]) Jahrbuch. Jahrgang III str. 54, także Meitzen. Ibid. T. IV str. 462—463. Dodajmy, iż wedle ankiety zarządzonej przez Ober-prezydjum w 1880 r. własność włościańska wynosi cokolwiek więcej, a mianowicie 4,226.901 mag. morg. (patrz Berichte des Vereins etc. T. III str. 79).

Zestawienie tych dwóch cyfr wskazuje nam odrazu, iż podział ziemi uprawnej, pomiędzy dwie klasy, panów i włościan, wcale nie jest sprzyjającym interesom tych ostatnich; posiadają oni bowiem tylko 40% z całej uprawnej przestrzeni, gdy 60% znajduje się w rękach szlachty, państwa, duchowieństwa, korporacji i t. p. Cyfry te jednak dają pojęcie o bardzo nierównym podziale ziemi tylko dla Poznańskiego, załączamy więc tablicę, która przez zestawienie go z innemi prowincjami państwa Niemieckiego — kwestję tę szczegółowiej objaśni.

Własność włościan w stosunku do całej powierzchni.

Prow. Prusy	58,5%
Pomeranja	34%
Prow. Poznańska	40%
Brandenburgska	47 %
Szląska	47%
Saska	65%

Z cyfr tu umieszczonych widzimy jasno, iż tylko w jednej Pomeranji, owym klasycznym kraju „Latifundia“, podział ziemi pomiędzy panów i chłopów jest jeszcze bardziej nierównym niż w Poznańskiem, które pod tym względem stoi niżej od przeciętnej całego Państwa.

Zwróćmy jeszcze uwagę na jeden fakt, ważny pośrednio ze względu na wnioski, do jakich dojdziemy badając sytuację włościan polskich w Poznaniu w zestawieniu z Niemcami, a mianowicie na mobilizację wielkiej własności ziemskiej pod względem etnologicznym, czyli innemi słowy na ruch większej własności i przechodzenie jej z rąk polskich do niemieckich. Żychliński podaje nam cyfry obejmujące perjod dość długi, bo 30 lat, od 1848 r. do 1878 r.

Wielka własność.

	Niemiecka	Polska
w 1848 r.	2,422.008 mor.	3,792.764 mor.
w 1878 r.	3,393.581 „	2,812.160 „

Cyfry te wskazujące, iż 900.000 do 1,000,000 morgów przeszło z rąk polskich w niemieckie są niesłychanie ważne z tego względu, iż świadczą bezpośrednio o upadku nawet większej własności w rękach polskich, i dowodzą, iż element polski w walce z niemieckim ustępuje temu ostatniemu nawet w sferze klasy zamożnej, w zakresach większej własności.[1]

(C. d. n.)

[1] Z dwu ścierających się plemion ras lub narodów, upadające w walce pospolicie są uważane pod wpływem kultu siły za słabsze i cywilizacyjnie niższe. Otóż ze względu na to utarte mniemanie — w chwili, gdy grożące nam siły de-

Z pamiętników więźnia stanu
lat ostatnich.

przez

Florjana Bohdanowicza.

(Dokończenie).

Z chwilą przyjazdu Hołturyna zaczęła się dla więźniów epoka najcięższych prześladowań. Na samym wstępie oznajmiono im, że wszyscy bez wyjątku będą pociągnięci za bunty do odpowiedzialności sądowej, a całe ich mienie, zawarte w książkach, odzieży i innych ruchomościach podlega sekwestrowi. Do prowadzenia śledztwa wydelegowano do pomocy Iliaszewiczowi, sprawnika Smirnowa, jego faworyta i wspólnika wszelkich frymarek, zwanego — wskutek okrutnego obchodzenia się z więźniami kryminalnymi — Hryćkiem Katem. Otóż ten ostatni, były kelner w hotelu irkuckim, obecnie zaszczycony mandatem sędziego śledczego w sprawie, rokującej mu prócz sowitych nagród wysokie uznanie w Petersburgu [1]), a może i order, postanowił nadać jej olbrzymie rozmiary, rozciągając śledztwo na całe lata. W tym celu podzielił ją na następujące części: 1. Sprawa ucieczki. 2. Sprawa wydawnictwa dziennika polityczno-literackiego „Kara“. 3. Sprawa prowadzenia tajemnej korespondencji. 4. Sprawa buntu i za-

strukcyjne wchodzą w okres gwałtownego działania, a budzenie w masach siły odpornej staje się bardziej istotnym niż kiedykolwiek punktem programu narodowego — chcielibyśmy, ażeby obok faktu rugowania żywiołu polskiego przez niemiecki podawano inne stanowiące ich przyczynę lub prowadzące do wniosku o ewentualności wręcz obecnemu stanowi rzeczy przeciwnej. W luźnej wzmiance trudno się wdawać w analizę pierwszych, lub w zestawianie drugich (do czego np. historja miast dostarczyłaby nader obfitego materjału). Zwracamy tylko uwagę na cenną grupę faktów, zawartych w dziele p. Kętrzyńskiego, „O ludności polskiej w Prusiech niegdyś krzyżackich“, dotyczących kolonizacji polskiej, na podstawie których daje się wyprowadzić wniosek, iż przy równych warunkach żywioł polski nie byłby wypieranym, lecz wypierającym! Gdyby nawet ten wniosek — daleki oczywiście od przypuszczenia możności posługiwania się środkami względem nas praktykowanymi — ograniczonym był przez inne fakty, waży on nie mało na szali dowodów. Giniemy dzięki zetknięciu się z siłą uorganizowaną; czy ginęlibyśmy, gdybyśmy sami tworzyli siłę uorganizowaną to pytanie, na które dopiero przyszłość odpowie. (Przyp. Red.)

[1]) Smirnow grubo się pomylił, w rachubie; gdyż właśnie w skutek tego śledztwa stracił posadę sprawnika, a nadto spoliczkowany został przez więźnia stanu Sierakowa, w obecności licznych świadków.

machu na życie komendanta Rudenki. 5. Sprawa przywłaszczenia piasku złotego [2]).

Do śledztwa tego przywoływano więźniów kolejno, a każdy z nich, kierując się oddawna przyjętą zasadą zachowywania milczenia w rzeczach dotyczących towarzyszy, zamykał swe zeznanie słowami: „nie mogę — lub też nie chcę odpowiadać". Ta bezczelna krnąbrność, jak się wyrażał Hołturyn, wywołała spotęgowanie środków represyjnych; za najlżejsze sprzeciwianie się trzymano ludzi, bez względu na stan ich zdrowia, w wilgotnych jamach całymi tygodniami o chlebie i wodzie; chorym odmówiono zupełnie pomocy lekarskiej, a ośmiu bez żadnej przyczyny wywieziono na dobicie do fortecy Schliesselburskiej [3]).

Doprowadziwszy takiem tyraństwem najsilniejszych nawet więźniów do stanu zupełnej dezorganizacji, rozkazał Hołturyn sotniom kozackim napaść na rozproszone po różnych więzieniach gromadki, narzucić im petle na szyje, okuć ręce i nogi, zgolić przemocą głowy, a później zapędzić wszystkich do głównego więzienia i zamknąć hermetycznie w przygotowanych klatkach. Upały w Karze dochodziły wówczas do 45°. Można więc sobie wyobrazić piekielne męki, na jakie byliśmy narażeni w tych istnych pudłach, przepełnionych duszącem i zatrutem powietrzem. Nie było żadnej nadziei wydostania się choćby na chwilę za próg tego istotnego grobu. Żyć w takim ucisku, trupieć za życia bez nadziei ujrzenia światła dziennego, było przeciwnem nie tylko naturze ludzkiej, lecz i zwierzęcej. To też nie było ani jednego więźnia, nie noszącego się z myślą protestu: szło tylko o to, w jaki sposób zamanifestować go w tak ścieśnionych zewsząd warunkach i jak mu nadać charakter zbiorowy. Porozumienie się wzajemne było niemożliwem ze względu na brak materjałów piśmiennych, słowa zaś głośniej wypowiedziane podchwytywali żandarmi lub też głuszyły je hałaśliwem klekotaniem, umyślnie w tym celu sporządzone grzechotki. Zwalczono jednak te wszystkie przeszkody i przyjęto jednomyślnie protest głodowy. Z ogólnej liczby 92 więźniów zaprotestowało trzydziestu kilku, do nich przyłączyło się nazajutrz dwudziestu, a następnego dnia jedenastu. Ogólna liczba protestujących doszła do sześćdziesięciu kilku.

Władze więzienne nie chciały, początkowo zwracać żadnej uwagi na ten protest, gdy jednak fakt jego stwierdzonym został zeznaniem straży, wówczas komendant Hołturyn zniewolony był zawiadomić o tem

[2]) W czasie rewizji znaleziono u więźniów 5 gramów piasku złotego: były to reszki analizy chemicznej, wykonanej za pozwoleniem samego komendanta w celu oznaczenia obcych złotu metali.

[3]) Dwu z tych nieszczęśliwych po upływie trzech miesięcy zakończyło życie, a jeden — wpadł w obłąkanie.

gubernatora, który wysłał natychmiast do Kary urzędnika dla zbadania całej sprawy. W skutek jego przyjazdu rozkazano więźniom, aby wybrali z łona swego dwóch delegatów w celu wyjaśnienia władzom przyczyn, skłaniających ich do głodowego protestu. Wybrano Sergjusza Kowalika, b. prezesa sądu pokojowego i Hipolita Myszkina, b. nauczyciela szkół ludowych. Wyżółkli i wychudzeni, podobni raczej do trupów niż do żywych ludzi, obaj delegaci zachowywali się z całą godnością i spokojem; w kajdanach złowrogo brzęczących na rękach i nogach, postępowali chwiejnym krokiem wśród zgraji carskich służalców, przygnębionych własną nicością moralną.

Zoczywszy ich, nawet Hołturyn, ów zahartowany łotr, już dla samej swej kompleksji niezdolny do głębszych i żywszych wrażeń — nie mógł ukryć widocznego wzruszenia i z pewnym odcieniem współczucia dla protestujących zażądał od nich protokularnego wyjaśnienia powodów głodowego protestu. Protokuł wspomniany zakomunikowano natychmiast drogą telegraficzną gubernatorowi Iliaszewiczowi, który go przesłał wyższej władzy.

Każdemu z przeglądających niniejsze kartki, dziwną się zapewne wyda ta zbytnia troskliwość władz o życie kilkudziesięciu jednostek, skazanych na powolną zagładę. Spieszymy więc zwrócić jego uwagę, że nie wypływało ono bynajmniej z pobudek humanitarnych, ale z urzędowej konieczności. Pomijając bowiem węzły pokrewieństwa, łączące wielu więźniów z osobami wyżej położonemi, pomijając skutki odwetu partji za nimi stojącej, zależało władzom głównie na tem, aby protest ów, pociągający za sobą możliwą śmierć kilkudziesięciu ludzi, nie zwrócił uwagi prasy europejskiej. Wszak rząd rosyjski ma swą tkliwość polityczną, swe gabinetowe serce i swych cherubinów, odbijających pociski nieprzyjaciół ognistym mieczem! O, wieleż to już ofiar ten rząd macierzyński poniósł i ponieść jest zdolny w obronie wiary, ojczyzny i swobody! Czyż nie zapisana niemi każda karta historji caratu?... A Polska, Litwa, Ukraina, Wołyń, Podole, Kaukaz, Chiwa, Buchara, Syberja, czyż to nie żywi świadkowie tych wzniosłych i nieskazitelnych jego dążeń?!... Otóż Anuczyn, jeden z kapłanów świątyni moralności rządowej, ów arcyłotr, zdolny w każdej chwili do wypruwania tętnic z ciał ludzkich, to szponami lucypera wyszarpane włókno, wplecione w administracyjną nić carstwa, krwawiącą od wieków serce całej Słowiańszczyzny! ów Anuczyn i w tym razie poczuł się do obowiązku gorliwego stróża sumienia rządowego. Czyniąc zadość swemu posłannictwu, Anuczyn nie przestawał nalegać na Iliaszewicza, przychylającego się już na stronę więźniów, by ten im żadnych ustępstw nie czynił, zagrożonych zaś głodową śmiercią kazał zasilać przymusowo. Sprawę protestu głodowego oddano miej-

scowemu doktorowi Siergiejewskiemu, posłusznemu wykonawcy wszelkich rozporządzeń zwierzchniczych. Znając osobiście każdego z więźniów zapewnił on Iliaszewicza, że wszyscy bez narażenia życia mogą wytrzymać dwunastodniowe morzenie głodem, by zaś pobudzać instynkta samozachowawcze w głodzonych, kazał codziennie wieczorem wnosić do cel świeżo przyrządzoną strawę i takową do rana tam pozostawiać. Ilość jej wyznaczał sam komendant Hołturyn, a prócz tego nad losami jej czuwali przez całą noc, stojący pode drzwiami żandarmi.

Wnętrze więzienia przedstawiało ponury, przerażający widok. Ciszę głuchą, grobową przerywał tylko niekiedy brzęk kajdan albo głębokie bolesne westchnienie. Na gołych drewnianych ławach leżeli ludzie; jedni z nich, nieruchomi, ze skutemi na piersiach rękama, z nogami wystającemi za krawędź ław i chylącemi się ku ziemi pod ciężarem łańcuchów, robili wrażenie umarłych; inni wili się w okrutnych boleściach, wydając głuche jęki. Oczy niektórych jaśniały niezwykłym blaskiem, zamglone źrenice innych zdawały się gasnąć na zawsze. Jedni byli zupełnie bezwładni, drudzy, pokonywając wysiłkiem woli skutki wielodniowego głodu, starali się słowem pociechy rozerwać milczących towarzyszy. Aby zapobiedz zwiększającemu się odrętwieniu, dr. Wejmar nacierał stawy kończyn tynkturą jodową, rany zaś skorbutowe zakładał szarpiami, ale wkrótce i on sam i jego pacjenci stracili chęć oddawania się temu nużącemu zajęciu.

Widok ten, głęboko wzruszający serce ludzkie, wywierał silne wrażenie na oficerów i żandarmów, którzy zaczęli w rozmaity sposób objawiać swe współczucie. Żandarmi, znużeni moralnie tą ponurą jednostajnością wrażeń, przeklinali swego komendanta i prosili o uwolnienie od służby, nawet oficerowie stawali po stronie więźniów. Żołnierze, którzy wynosząc nietknięte jadło, daremnie szukali z początku wyjaśnienia niepojętej dla nich zagadki dobrowolnego morzenia się głodem, znaleźli teraz odpowiedź we własnej — rozbudzonej uczuciem — myśli. Nawet osowiały rządca więzienia, Leontiew, słynny w całej zabajkalskiej ziemi ze swych zwierzęcych instynktów niegodziwiec, podał się do dymisji. Tylko jeden major Hołturyn, obojętny na wszystko, przesuwał się o zmroku po korytarzu jak zły duch, zapytując stłumionym głosem żandarmów: „A co? czy nikt jeszcze nie umarł?

Trzynastego dnia trwania głodowego protestu, po zwykłej wizycie dra Siergiejewskiego, rozeszła się w więzieniu pogłoska o wydaniu rozkazu przymusowego zasilania ofiar.

Nie wątpiąc ani na chwilę o gotowości władz do chwycenia się tego barbarzyńskiego środka, któremu niemoc fizyczna wyniszczonych głodem oprzeć się nie była w stanie, postanowiono akt spodziewanego

gwałtu uprzedzić samobójstwem. Jeszcze w przeddzień protestu, zaopatrzył się każdy więzień w odpowiednią ilość trucizny, a mianowicie atropiny lub morfiny, oddawna starannie ukrywanej przed okiem straży.

W tem dało się słyszeć na korytarzu stąpanie żołnierzy. Więźniowie chwycili za ostatnią swą broń, lecz była ona na razie zbyteczną. Żołnierze, zamiast spodziewanych narzędzi do przymusowego karmienia — nieśli na barkach bieliznę, ciepłą odzież i część biblioteki więźniów. Zwracając im te rzeczy zastępca komendanta, kapitan Tiażołyj, oznajmił, iż gubernator, mając na względzie ciężkie położenie więźniów, spowodowane ucieczką niektórych towarzyszy, zdejmuje sekwestr z ich mienia, wracając im prawo korzystania z półgodzinnej przechadzki. Co zaś do golenia głów, to wykonanie tego rozkazu pozostawia w zawieszeniu aż do odpowiedzi Ministra sprawiedliwości.

Te wspaniałomyślne ustępstwa, równające się zeru, nie zmieniły na włos raz powziętego postanowienia więźniów, to też nikt nie myślał o odstąpieniu od protestu, aż do oficjalnego wykreślenia z ustawy punktu, dotyczącego golenia głów. Aby jednak utrzymać przy życiu zagrożonych głodową śmiercią, chciano zasilać ich łyżką mleka lub bulјonu, ale wszystkie przedstawienia były daremne i nie zdołały skłonić nikogo do zerwania solidarności z resztą towarzyszy.

Jak każdy objaw duchowy, tak też i protesty głodowe przechodzą przez rozmaite fazy, których przebieg zależnym jest od właściwości ducha danej jednostki. Czyn samobójstwa, bywa zazwyczaj dziełem jednej chwili. Spotęgowana, pod naciskiem konieczności wola świadomie lub bezmyślnie przecina nić żywota. W długotrwałym jednak proteście, ostateczne wycieńczenie organizmu wywołuje odpowiednie napięcie instynktu zachowawczego, który stara się nagiąć wolę w kierunku przeciwnym postanowieniu. Wywiązuje się tedy między temi potęgami walka, której charakter i rozmiary zawisłymi są od kompleksji organicznej osobnika. Są natury tak stanowcze i nieugięte, że wola ich w ostatecznej nawet chwili jest nieprzystępną dla żadnych wpływów zewnętrznych. Takie jednostki giną z całym stoicyzmem, składając postanowienie swe w objęcia śmierci. Są znów natury inne, bardziej kontemplacyjne, które w ciągu zabójczego protestu puściwszy wodze swej pesymistycznej myśli, nieraz się wahają, ale pchnięci siłą postanowienia, z zamkniętemi oczyma idą naprzód w raz obranym kierunku. Natury wrażliwe, z wysoko rozwiniętą wyobraźnią wytwarzają na posępnem tle życia, ciężącego nad nimi z całą siła klątwy, wspaniałe, pełne natchnienia obrazy, na których widok zamiera nawet instynkt samozachowawczy. Ale są także natury chwiejne, zmysłowe, które, nie mogąc wytrwać przy raz powziętem postanowieniu ani też

znaleźć w swej wyobraźni siły przeciwdziałającej obawie śmierci, ulegają, w ostatniej chwili okolicznościom, niweczącym postanowienie. Wprawdzie jak w każdej sprawie zbiorowej, tak i tutaj jednostki słabsze czerpią siłę moralną w przykładzie potężniejszych duchem, ale wpływ tych ostatnich ustaje z chwilą zerwania solidarności przez kogoś jednego. Dzieje się tu podobnie jak w walce orężnej: jeden — w stanowczej chwili z posterunku uchodzący żołnierz, przechyla szalę zwycięstwa na stronę nieprzyjaciela. W walce głodowej zwycięstwo to poprzedzają zjawiska, tak głęboko oddziaływające na naturę ludzką, że w obec nich zachwiać się muszą nawet żelazne charaktery. W obecnej chwili śmierć roztaczała ponure swe skrzydła nad gasnącymi współtowarzyszami. Chcąc ich uratować z jej objęć, trzeba było skruszyć broń, torującą drogę do zwycięstwa, tj. zasilić ich pokarmem. Lecz czy należało to uczynić? Prawo natury mówiło **tak** — prawo postanowienia **nie**.

Tę straszną godzinę ludzkiej niemocy, w obec której zamilknąć by musiała najzaciętsza nienawiść i zemsta, przerwała codzień w tym czasie powtarzająca się ceremonja wnoszenia jadła. Początkowo, jak zwykle, stało ono nietknięte, gdy nagle, oczy jednego z więźniów zaświeciły dzikim ogniem... po chwili rzucił się ku misom, napełnionym jadłem i z chciwością zgłodniałego źwierzęcia pożerał kawały mięsa. Za jego przykładem poszło dwóch innych jeszcze, lecz reszta, oburzona tym postępowaniem młodego więźnia, postanowiła oddać go pod sąd ogółu.

W kilka minut doszedł fakt naruszenia protestu głodowego do wiadomości władz. Nie podobna też wyrazić powszechnego oburzenia więźniów. Jedni, ze wstrętu i boleści zamilkli, inni znów w przekonaniu, że naruszenie protestu przez trzech więźniów będzie uważane przez władze za ogólne, oświadczyli się sami za przerwaniem protestu. Aby jednak sprawie tej nadać charakter mniej nagły, przyzwano komendanta, oznajmiając mu, że przyjmują tymczasowo udzielone ustępstwa i odstępują od protestu.

Po takiem, wywołanem koniecznością oznajmieniu, nastąpiły znowu długie, nużące chwile — poczem jedni zaczęli się posilać, drudzy odmówili stanowczo wszelkim prośbom, inni zaś przyjmować już strawy nie mogli.

Nazajutrz wypuszczono wszystkich więźniów na półgodzinną przechadzkę po dziedzińcu. Dzień był piękny, słońce po wielodniowej słocie w całym majestacie kroczyło po czystem sklepieniu niebios, budząc ożywczymi promieniami do życia tych, którzy je na zawsze pożegnać mieli, oraz uwydatniając przerażające zmiany, wywołane trzynastodniowym głodem. Złamani cierpieniem wyglądali wszyscy jak starcy, oczy ich były na pół martwe i głęboko zapadłe, twarze śmiertelne blade, głos drżący

i cichy... Gdyby choć promyk nadziei mógł błysnąć w spragnionych wolności piersiach! Lecz jakąż ulgę rokowały nic nieznaczące ustępstwa, kupione ceną zdrowia jednych, a bliską śmiercią drugich? Czyż zdejmowały one klątwę niewoli ciężącą na wszystkich? Cóż po odbytej nawet karze zabezpieczało ich od śmierci w tej strasznej otchłani, w której władza gubernatorska potężniejszą była od prawa? Jakąż wreszcie mogliśmy mieć rękojmię dotrzymania choćby owych błahych przyrzeczeń? To też i to jasne niebo, ku któremu mimowoli zwracały się oczy każdego, ciemniało coraz więcej, a gorzkie słowa wyrzutu: „czemu nie umarliśmy z głodu? wychodziły z nie jednej piersi. „Śmiercią skrócilibyśmy przynajmniej okrutne męczarnie i wznieśli spiżowy pomnik z swych kości.

Stało się! Niedługo potrzebowaliśmy czekać: w niespełna dwa tygodnie odebrano nam znowu cieplejszą odzież i książki, ogolono głowy i pozamykano hermetycznie w więziennych grobach. Dr. Wejmarowi zabrano apteczkę i książki lekarskie w skutek czego chorzy zostali bez żadnej pomocy, a gdy pewnego razu zawezwano do umierającego więźnia, Tichonowa, miejscowego lekarza Siergiejewskiego, ten, uznawszy go wcale zdrowym, odmówił mu pomocy lekarskiej. Ów „wcale zdrowy“ wyzionął nazajutrz ducha. Trup leżał przez całą dobę w celi więziennej, służba bowiem nie chciała go wynieść bez pozwolenia komendanta. Towarzysze zmarłego obmywszy go, wynieśli sami na korytarz. Przerażający widok trupa, jakby z grobu wydobytego, tknął do żywego nadchodzącego w tej chwili z żołnierzami kapitana Tiażołego. „Zdjąć czapki! Oddajcie cześć męczennikowi“! krzyknął na żołnierzy, a zwracając się do więźniów z wyrazem niekłamanego współczucia, pozwolił im na własną odpowiedzialność odprowadzić do bramy zwłoki zmarłego towarzysza.

Od tego czasu stawał się Tiożołyj, jeden z najzawziętszych naszych wrogów, coraz to przychylniejszym dla nas, za co też wtrącono go wkrótce z rozkazu Hołturyna do domu obłąkanych, gdzie próbował zarznąć się brzytwą.

Wycofano też jego rotę, zastępując ją inną, więcej obiecującą. Wreszcie we wrześniu 82 r. powołano majora Hołturyna, naszego największego prześladowcę, do Irkucka, skąd już do Kary nie wrócił.

Komendantem więzienia karyjskiego zamianowano Burleja.

Burlej był typem oficerów, zwanych pogardliwie przez Rosjan Burbonami. Ograniczonego umysłu, karciarz, pijak, nie był ani mściwym, ani okrutnym z natury, dbały jednak o własną skórę wypełniał ślepo niedorzeczne i nieludzkie instrukcje gubernatora Iliaszewicza. Coraz częściej powtarzające się w więzieniu smutne wypadki obłąkania, skłoniły go nawet do proszenia wyższych władz o ulżenie przykrej doli więźniów,

nie mogąc jednak nic wskórać, a przekonawszy się, że posada komendanta przynosi więcej przykrości niż zysku, przeniósł się napowrót do Irkucka. Anuczyn nie mogąc znaleść odpowiedniego kandydata, przeznaczył na ten urząd w Syberji Szubina, oficera żandarmerji z Petersburga.

Człowiek ten, mogący służyć za typ nowej generacji policyjnej, zasługuje na bliższą uwagę. Zmysł szpiegowski zmięszał się tu z tchórzliwym idjotyzmem. Ożywiony myślą przysłużenia się rządowi, wykryciem w więzieniu karyjskiem fabryki dynamitu, Szubin spostrzegłszy na piecu więziennym kawałek mydła począł go strugać, a nie dostrzegłszy nic ukrytego, popełznął pod ławy i zaczął ostukiwać podłogę.

— Tak, niezawodnie tu, mruczał, tu musi być skrytka z dynamitem, trzeba przedsięwziąć najściślejszą rewizję. Był już na wyjściu, gdy nagle jakby rażony nową myślą, przyłożywszy rękę do czoła zapytał rządcy więzienia:

— Skąd to mydło w więzieniu?

— Więźniowie sami go wyrabiają, odrzekł zapytany.

— Jakto? w więzieniu gotują mydło?

— Nie w więzieniu, odparł rządca, lecz w kuchni je gotują i to pod ścisłym nadzorem.

— To wszystko jedno—mówił Szubin. Czyż nie wiecie, że od mydła jeden krok do dynamitu! i rzucił się ku drzwiom jak strzała.

Aby zabezpieczyć się na przyszłość od „grożącego niebezpieczeństwa", zajął się Szubin ułożeniem projektu powszechnej rewizji, spędzając przytem całe noce pod oknami więzienia. Wkrótce za pozwoleniem gubernatora ustanowiono komisję rewizyjną pod przewodnictwem Szubina. Członkami komisji mianowano: pułkownika Nowikowa, majora Potułowa i innych.

Dnia 26 marca zacny ten tryumwirat w towarzystwie czterech kompanji karabinierów i licznego pocztu policji rozpoczął swe czynności rewizyjne. Wyprowadzanych kolejno przed komisję więźniów rozbierano do naga, a odzież oddawano po sztuce w ręce dostojnego tryumwiratu dla zrewidowania. Obłożnie chorych więźniów przynoszono na płachtach. Po skończonym akcie spędzono wszystkich razem do wilgotnego i zimnego budynku, gdzie pozostali do rana bez żadnego posiłku. Po dopełnieniu osobistej rewizji, komisja, przyzwawszy w pomoc około stu więźniów kryminalnych z siekierami, drągami i toporami, kazała przystąpić do rozwalania kominów i ścian i do wyrywania podłogi. I rzeczywiście w szparach ścian znaleziono kilka ukrytych rękopisów, trochę materjałów do pisania i kilkaset rubli papierowych; wszystko to, rozumie się, przeszło na własność komisji. Na strychu znaleziono kilkanaście ładunków rewolwerowych, pozostałych od ostatniej ucieczki.

Odkrycie to posłużyło Szubinowi za dowód gotującego się między więźniami buntu, zagrażającego życiu samego komendanta, o czem natychmiast doniósł telegraficznie Iliaszewiczowi.

W odpowiedzi na tę depeszę otrzymał Szubin pozwolenie od gubernatora do wzmocnienia załogi wojennej, oraz do zaprowadzenia w więzieniu t. z. stanu wyjątkowego. Miało to być coś w rodzaju stanu oblężenia, ale że nie było już ani co oblegać, ani też kogo aresztować, przeto ograniczył się komendant pozbawieniem więźniów prawa półgodzinnej przechadzki, zakazał ciepłej strawy i pozbawił nawet obuwia. Nadto zwołano ze wszystkich stron cieśli i kowali w celu spiesznego wykończenia nowego budynku więziennego, mającego pochłonąć w swych grobach upatrzone przez Szubina ofiary.

Ukończywszy rewizję więzienia mężczyzn, komisja z siłą zbrojną podstąpiła pod ściany kobiecego. Tu miały miejsce ohydne sceny: przebierano kobiety przymusowo w odzież aresztancką i wleczono je za włosy po ziemi, zabrawszy całe ich mienie. Podczas tej rewizji Szubin dla bezpieczeństwa nie przestępował progów więziennych, lecz otoczony karabinami wydawał rozkazy z korytarza, gdzie wkrótce skutkiem zbytniej irytacji padł, tknięty paroksyzmem epileptycznym.

Wśród takiego ucisku upływały znowu długie dni i miesiące. Zabójcze ze wszech miar warunki, rozwijały między więźniami gorączkowe choroby i febrę, a nadziei wyzwolenia nie było żadnej. Wprawdzie kilkunastu więźniów odbyło już oddawna naznaczoną im karę, ale wyroki sądowe nie miały w obec samowoli gubernatora żadnego znaczenia.

Zbliżał się wreszcie dzień koronacji nowego cara. Gubernatorzy, spodziewając się nadzwyczajnego gońca z Petersburga, musieli złagodzić swe nadużycia. Jakoż kilku z więźwiów karyjskich, którzy od roku mieli być wypuszczeni na wolność, wysłano obecnie „na osiedlenie“. Wreszcie po odbytym akcie koronacji, zjawił się w Karze ów zapowiedziany goniec carski w osobie pułkownika sztabu głównego, Norda Podleskiego. Była to figura dość ograniczonego umysłu, ale wielkiej próżności i pozbawiona wszelkich delikatniejszych uczuć ludzkich. Z wejrzenia wyglądał raczej na sługę policyjnego, aniżeli na człowieka wyższego stanowiska, jakim być mniemał. Przetrząsnąwszy węzełki więźniów, Nord zatrzymał wzrok swój na odzieży. Więźniowie mieli na sobie zwykłe szynele aresztanckie tylko nieco skrócone. Co to za bunżurki? zapytał niecierpliwie, a gdy poinformowano go, zwrócił się do komendanta z następującemi słowy: Tego w więzieniu być nie powinno, u nas, w wyższych sferach, krzywo patrzą na zmianę stroju więziennego.

Po kilku takich policyjnych wizytach przywoływał Nord więźniów do swego mieszkania. Pierwszym z wezwanych był doktor Wejmar.

Przyjąwszy go z sztuczną uprzejmością, Nord wręczył mu list od wiceministra Czerewina, zaklinającego doktora w imię swobody, aby odstąpił od poprzedniego zeznania w sprawie ucieczki więźniów. Wejmar, przeczytawszy ten list, zwrócił go Nordowi i zamierzał już odejść, gdy ten mu rzucił następujące pytanie.

— Co byś pan począł, będąc wolnym?

— Nie mogę panu w tej chwili odpowiedzieć rzekł Wejmar, prawdopodobnie chwyciłbym za rewolwer, aby wymierzyć nim sprawiedliwość naszym ciemięzcom. — Na tych słowach, jak na ostrzu noża, urwała się dalsza rozmowa. Po nim przyzwano drugiego więźnia stanu, Krawcow'a, od którego podobnie jak i od innych, usłyszał Nord taką samą mniej więcej odpowiedź. Przekonawszy się, że ma do czynienia z ludźmi niezłomnych przekonań, Nord w raporcie swym do cara uznał więźniów karyjskich za ludzi upartych, ograniczonych, zgubnych przekonań dla cesarstwa, a przeto wcale nie zasługujących na względy Jego Cesarskiej Mości.

Aby jednak oznaki niewidzialnej łaski carskiej uczynić widzialnemi, uwolnił dwóch więźniów, którzy ze względu na wrodzoną im słabość charakteru nie wahali się wyrzec z pewną nawet skruchą swych przeszłych, a właściwie nigdy szczerze nie podzielanych przekonań politycznych.

Wizyta Norda Podleskiego, jadącego do Kary z rogiem obfitości, pełnym łask carskich, jak rozgłaszało rosyjskie dziennikarstwo, najmniejszej więźniom stanu nie przyniosła ulgi, a błahe jego przyrzeczenie spełzły na niczem. W tym czasie jednak doznali więźniowie chwilowej pociechy na wieść o wyjeździe z Czyty jednego z największych tyranów, gubernatora Iliaszewicza. Iliaszewicz został jeszcze we wrześniu 1882 r. ciężko ranny kulą rewolwerową z ręki przestępczyni stanu Kutilońskiej, którą do tego czynu popchnęła zemsta za prześladowanych towarzyszy. Sąd gubernjalny skazał Kutilońską na karę śmierci, lecz w konfirmacji zamieniono ten wyrok na dożywotnie ciężkie więzienie. Rana Iliaszewicza, chociaż zakryta orderem, nie przestała mu dolegać, doszła zaś do największego rozjątrzenia właśnie wtedy, gdy car w skutek odebranych nań od mieszkańców zabajkalskiej ziemi skarg i zażaleń, polecił mu wyjechać za granicę na czas nieograniczony.

Chociaż miejsce Iliaszewicza zajął tymczasowo Andrejewski, człowiek dobrej woli, to przecież nie wieleśmy z tej zamiany skorzystali, gdyż baczne oko generał-gubernatora Anuczyna, przenikało mury więzienne, a wszechmocna jego ręka karciła srodze każdego, rozluźniającego więzy ofiar jego nienawiści. Z jego to rozporządzenia rozłączono więźniów, zamykając każdego oddzielnie w nowo zbudowanych celach, istotnych

grobach, w których kilku z nich zakończyło wkrótce dni swego męczeństwa. Rzeczywiście trudno scharakteryzować tę próżną, złośliwą i pełną zarozumiałości naturę. Ta pastwiąca się złośliwość w Anuczynie nie mogła być wynikiem stosunków obecnych, lecz była odziedziczoną od dziada i pra-dziada. Wszak i rodzona jego siostra, bez względu na swe wysokie stanowisko społeczne, przegryzła w napadzie gniewu ucho swej pokojówce, co w swoim czasie było podane do publicznej wiadomości. Anuczyn jednak był człowiekiem zbyt wytrawnym, aby miał złość swą wywierać na kimkolwiek własną ręką. To panowanie nad sobą w każdej chwili, przy wcale znacznym zasobie nauki i wrodzonej przytomności umysłu, ten takt szatański stanowiły jego broń, którą zwalczał wyższych stanowiskiem współzawodników i zmieniał plany administracji państwowej przez samego już nawet cara zatwierdzone. On to podczas pobytu w Petersburgu wskrzesił na nowo generał-gubernatorstwo wschodnio-syberyjskie i sam piastował wysoką godność namiestnika tej ziemi z całą grozą wszechwładnego satrapy.

Publiczność irkucka niejednokrotnie się czuła zbyt słabą wobec obchodzenia się jego pełnego zuchwałości, aby módz wystąpić z nim do otwartej walki. Inaczej się rzecz miała z przestępcami stanu, którzy widzieli w nim jedynie człowieka wrogich im przekonań politycznych, gnębiciela i cynika, gotowego dla zaspokojenia swej pychy, posunąć się do największych okrucieństw. To przekonanie swoje wyjawiali na każdem miejscu i przy każdej okoliczności, nie tylko słowem lecz i całem zachowaniem się. Tego właśnie nie mógł im Anuczyn zapomnieć, a mimo to sam je wciąż wywoływał, pewny, że grozą swego imienia jest dostatecznie zasłonięty od słusznego z ich strony odwetu.

Anuczyn rozpoczął swe panowanie bezprzykładnem znęcaniem się nad więźniami. Wspólnikiem i prawą ręką jego nikczemnych postępków był jego adjutant, pułkownik Sołowiow. Więzienie irkuckie pod dozorem tych dwóch prześladowców, zmieniło się w istną czeluść piekielną, pochłaniającą żywcem nie tylko osądzonych i podsądnych, ale i osiedleńców. Przetrzymując ludzi najniewinniejszych miesiącami w wilgotnych celach bez należytego pokarmu, bez książek, korespondencji i przechadzki, oddając ich na pastwę brutalnej straży, potęgowano w nich tak dalece nienawiść przeciwko przedstawicielom władzy, iż najspokojniejszym nawet naturom nie starczyło sił do biernego zachowania się wobec ciemięzców. Więzień stanu, Szczedryn, oburzony bezecnem postępowaniem pułkownika Sołowiowa z uwięzionemi kobietami, zemścił się na niegodziwcu, wymierzając mu wobec całej świty tak silny policzek pięścią, iż Sołowiow padł skrwawiony na podłogę. Otrzeźwiony zimną wodą powstał z ziemi i rozkazawszy przywiązać Szczedryna do słupa, bił go obnażonym pa-

łaszem. Sąd wojenny skazał Szczedryna za zamach dokonany na osobie Sołowiowa na karę śmierci. Car atoli ze względu na popędliwość Sołowiowa, zmienił karę śmierci na dożywotnie więzienie z przykuciem do taczki.

Wkrótce potem Lohkij, ośmnastoletni uczeń gimnazjalny, doszedł wśród zabójczych warunków, do takiego stopnia rozdrażnienia, iż pewnego poranku, wyłamawszy nogę od tapczanu, ugodził w głowę znęcającego się nad nim strażnika. Sąd irkucki, bez względu na niepełnoletność podsądnego i jego stan zdrowia bliski obłąkania zmysłów, jak to zostało stwierdzone zeznaniem lekarza, skazał go na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok ten spełniony został w obrębie murów więzienia irkuckiego.

Dołączając do swej nienawiści dla więźniów stanu, zemstę za wymierzony policzek, Anuczyn przedsięwziął szereg nowych prześladowań. W tym celu wydał rozporządzenie, na mocy którego wszystkich osiedleńców politycznych wypędzono z miasteczek i z okolicznych włości i zagnano w odludne pustkowia, gdzie wielu z nich z nędzy i rozpaczy dni swe skróciło samobójstwem. Niezapomniano także i o więźniach. W tym celu przebudowano jedno skrzydło więzienia irkuckiego tak, ażeby rozsadzeni po celach więźniowie nie mogli mieć ze sobą żadnej łączności ani też odetchnąć świeżem powietrzem, listy zaś i telegramy do nich wysyłane, zatrzymywano z polecenia gubernatora w jego biurze po roku a nawet więcej. Policja irkucka rozpoczęła nowe aresztowania i więzienie się zapełniło świeżemi ofiarami.

W ich liczbie był młody człowiek Nieustrojew, z pochodzenia Jakut. Prąd cywilizacyjny zaniósł tego syna lodowych pustyń na jego nieszczęście do stolicy cesarstwa. Ukończywszy tam kursa uniwersyteckie, Nieustrojew objął w Irkucku posadę nauczyciela ośmioklasowego gimnazjum żeńskiego. Cichy, skromny, wysoce uzdolniony, pracowity i szlachetny, zjednał sobie w krótkim czasie powszechną sympatję. Będąc atoli z natury człowiekiem głęboko uczuciowym, nie mógł patrzeć obojętnem okiem na męki dręczonej w więzieniu młodzieży, czem zwrócił na siebie uwagę policji i dostał się niebawem do więzienia.

Anuczyn, który od chwili zajścia Szczedryna z Sołowiowem, usiłował koniecznie swem zaczepno-złośliwem obchodzeniem się z przestępcami stanu wywołać katastrofę, ukazał się podczas wizytacji w celi Nieustrojowa i to właśnie w chwili, gdy ten dla braku dowodów miał być uwolnionym.

Nieustrojew, czując oddawna wstręt do osoby generał-gubernatora, jakby tknięty jakiemś złowrogiem przeczuciem, cofnął się na jego widok w głąb celi, zostawiając w pobliżu drzwi dwóch swych towarzyszy: Kozłowskiego i Bułatowa. Anuczyn jednak, nie zwracając uwagi na tamtych

skinął ręką na Nieustrojewa, a gdy ten się zbliżył o parę kroków, wówczas tamten powtórzył kilkakrotnie ze złośliwą ironją:

— Wstyd! wstyd!

Nieustrojew zbladł, zadrżał i ręka jego dotknęła mimowoli policzka generał-gubernatora. Świadkowie tego zajścia, oficerowie i żołnierze, rzuciwszy się na Nieustrojewa, nie wypuszczali go z rąk, ale Anuczyn kazał go uwolnić, a powtórzywszy z takąż samą złośliwą ironją: wstyd! wstyd! wyszedł.

Umiejętność jego panowania nad sobą doszła w tej chwili do istotnego artyzmu. Nie zwracając bowiem żadnej uwagi na odebrany policzek, z całym spokojem szedł oglądać następne cele, a po obejściu dopiero wszystkich, udał się do pałacu i zawezwawszy szefa sztabu, Maksymowicza, przelał nań swą władzę, rozkazując oddać natychmiast Nieustrojewa pod sąd wojenny. Sąd wojenny po przeprowadzeniu śledztwa, skazał Nieustrojewa za wyrządzoną generał-gubernatorowi obelgę na dwanaście lat ciężkich robót, wyrok ten jednakże Anuczyn własną ręką rozdarł, ganiąc surowo sędziów za niczem nieusprawiedliwioną pobłażliwość dla takiego zbrodniarza.

Powtórnie zebrany sąd wojenny, zwiększył karę Nieustrojewa do dwudziestu lat ciężkich robót. Przy ostatniej jednak rozprawie jeden z sędziów zawołał:

— Panowie! nie zapominajcie, że tu idzie o nas samych, o naszą przyszłość! Generał-gubernator żąda krwi Nieustrojewa! Małoduszny egoizm, który od tylu już wieków niweczy w ludziach szlachetniejsze popędy, stłumił i tą razą w sędziach głos sumienia. Nieustrojewa skazano na karę śmierci przez rozstrzelanie. Okrutny ten wyrok spełniono 21 (19) listopada 1883 r. *)

Jednocześnie z wykonaniem tego wyroku, wedle powszechnie przyjętego w carstwie zwyczaju, otrzymał Anuczyn order św. Stanisława

---

*) W parę godzin po owem nieszczęśliwem zajściu z Anuczynem, Nieustrojewa zamknięto osobno w ciemnej celi. W czasie śledztwa znęcano się nad nim i zakuto go w kajdany. Zeznanie Nieustrojewa pełne spokoju, godności i właściwej czystej jego duszy otwartości, ocaliło by może mu życie, uwolniając jednocześnie sędziów od ciężkich wyrzutów sumienia, gdyby nie zabiegi szefa sztabu, Maksimowicza, który starannie usuwał wszystko, co mogło świadczyć na korzyść skazanego. Nieustrojew pisał przed śmiercią z więzienia kilka razy do swych towarzyszy; ostatni z listów przytaczam tutaj w dosłownem tłómaczeniu.

8 listopada — noc.

„Bądźcie zdrowi bracia! przyjaciele! Czuję potrzebę spoczynku, a jednak zasnąć nie mogę. Koniec mój bliski. W liście uprzednim doniosłem wam o wszystkiem szczegółowo. Umieram niesłusznie, a co najgorzej za czyn nie z wolnej woli popełniony. Zawistny losie! Pocieszają mię mówiąc, że to tylko

wraz z prośbą cara o pełnienie i nadal obowiązków generał-gubernatora Wschodniej Syberji, których się był zrzekł po otrzymaniu policzka. Pomimo carskich zaszczytów, nie minęła go wzgarda publiczna, objawiająca się przy każdej niemal sposobności w spokojnej, lecz niemniej dotkliwej formie. Nazajutrz po rozstrzelaniu Nieustrojewa drzwi jego pomimo ciągłej i czujnej straży, całe krwią były zbroczone.

W cztery czy pięć miesięcy po wyżej opisanym wypadku, Anuczyn wyjechał do Petersburga i dotychczas stamtąd nie wrócił. Może jakaś siła opiekuńcza oswobodzi w końcu przestępców politycznych i mieszkańców Syberyjskich od tego potwora!

śmierć polityczna, a grób już wykopany. Odmówiłem przyjęcia komunji, prosząc o przyniesienie mi krzyża. Znak męczeństwa zastąpi mi Was i wszystko co mi jest drogiem... Dałby Bóg aby mój list szyfrowany doszedł rąk waszych. Trudno uwierzyć jak to wszystko wydaje mi się chwilami dziwnem. Czy się dowiecie kiedy o moich męczarniach? Bracia! wybaczcie mi moją słabość, nie każdemu daną jest moc duszy. Byłem zawsze tylko prostym robotnikiem, alem nie splamił niczem świętego sztandaru, w którego zwycięstwo ostateczne wierzę niezachwianie. Chciałem żyć, gotów byłem usprawiedliwić się nawet z mego postępku... Prosiłem rządcę więzienia o pozwolenie pożegnania was, alo mi odmówił. Myśli me posyłam do Was, ale tam cisza: nie słychać ani jednego dźwięku... Żegnam Was po raz ostatni! Pomimo mej usilnej prośby, nie umieszczono w akcie oskarżenia faktów podanych przezemnie, które by mnie musiały usprawiedliwić — odmówili także memu żądaniu przedstawienia całej sprawy carowi. Mam więc umrzeć! za mimowolne podniesienie ręki! — Jakże rzeźkim czułem się dzisiejszego ranka; życie wrzało we mnie, rwałem się do niego. Spodziewałem się zobaczyć brata mej żony, lecz podobno nie ma go w mieście. Zamiast niego, ujrzałem popa. Jakże taniem jest nasze życie. Cieszy mię tylko to, że kula zmyje wszystkie moje błędy. Przyciśnijcie mię do swego łona! Jeszcze jedno: wszystko comkolwiek czynił, pisał lub mówił wypływało ze szczerej duszy. Niechaj to będzie ostatnie moje słowo. Chciałbym się zdrzemnąć, lecz nie mogę... na niepewne szkoda oddawać i chwili, wszak mam ich już tak nie wiele! Bądź zdrowa, ziemio rodzinna! rozwijaj się, kwitnij i przyjmij te z duszy i serca płynące wyrazy!

NA DNIE

Studjum społeczno-psychologiczne

przez

Iwana Franko.

I.

Po południu pewnej pięknej niedzieli wiosennej zdziwili się niepomału dwaj policjanci, siedzący w „strażnicy“ gminy drohobyckiej. Do strażnicy bowiem wprowadzono jakiegoś młodego panicza, średniego wzrostu w ubraniu zapylonem, ale dość porządnem.

— A tenże zkąd? — zapytał kapral i zmierzył młodego człowieka od stóp do głowy zamglonym od trunku wzrokiem.

— Starostwo przysłało, ma iść „na ciupas“, odrzekł policjant eskortujący panicza.

— Hm, hm, mruknął kapral i utopił wzrok w stojący przed nim talerz z ostatkami mięsa i sałaty, poczem spójrzał z lubością na pełną halbę piwa, do której się właśnie miał zabrać.

Policjant tymczasem wydobył z zanadrza papiery i podał je kapralowi. Był to wyrok starostwa. Kapral odebrał papier, rozwinął i zaczął go obracać w ręku, usiłując przesylabizować nazwisko „ciupaśnika“. Niemogąc jednak widocznie dać sobie rady z tą robotą, zapytał wprost tegoż:

— A jak się pan nazywa?

— Andrzej Temera.

— A zkąd?

— Z Tarnopola.

— Z Tarnopola? Hm! A dlaczegoż to pana z Tarnopola aż tu przysłali? Ha?

Temera, jakby nie szłyszał nawet tego pytania, stał i rozglądał się po strażnicy. Kapelusz swój i palto odłożył był na krzesło.

— Pocoś pan tu przyjechał? zapytał ponownie kapral już ze złością.

Na to Temera spokojnie odrzekł, jakby zamykając dyskusję: „Mniejsza o to“.

Kapral wytrzeszczył na niego oczy, lecz wnet się zreflektował.

— Ale nie mniejsza, proszę odpowiedzieć na moje pytanie!

— Nie do was należy pytać mię o to.

Kapral poczerwieniał ze złości i ścisnął zęby.

— O, mądryś mi paniczu! a jakie pan masz rzemiosło?

— To już moja rzecz, odparł Temera i jął się przechadzać po izbie, spoglądając na przyległy ogród gimnazjalny zalany ciemną zielenią drzew, między któremi przechadzali się ludzie rozmaitych stanów w świątecznych strojach, weseli i swobodni; skąd dolatywał wesoły śmiech bawiących się dzieci, dźwięczne głosy kobiet i niewymownie luby szmer bujnej, żywej roślinności. Chmurka żalu i tęsknoty przesunęła się po pięknej, młodej twarzy Andrzeja; jakaś trwoga ściskała mu serce, usta drgały kurczowo, a oczy wciąż miał wlepione w to morze zieleni, rozkosznie świecące w słonecznym blasku.

— Ej, paniczu, bardzoś, jak widzę, mądry, choć taki jeszcze młody, mruczał kapral, tłumiąc w sobie złość i wychylając pół halby piwa. To nie dobrze, jak kto tak wcześnie zmądrzeje: nie wychowa się na świecie! No, ale teraz może pan będzie łaskaw zagościć do naszej „sali“. My tu dla takich mądrych panów mamy osobny salon, przepyszny salon! cha, cha, cha!

Temera odwrócił się szybko. Na twarzy jego malował się niepokój.

— A pan inspektor rychło przyjdzie? zapytał.

— O rychło, odparł ironicznie kapral.

— To możebym tymczasem mógł tu zaczekać? rzekł Temera, który nie zauważył był tonu, jakim kapral wymówił owe „rychło“.

— E, to wszystko jedno, czy tu, czy tam, prawił kapral, tyle tylko, że tam bezpieczniej, a zresztą paniczu, tam właściwe dla was miejsce. No, chciejże się pan pofatygować za mną.

— Ale ja bym prosił zostawić mię tu, jeśli można, błagał Temera.

— Nie można, panie, nie można, mówił słodziutko kapral, szczęśliwy, że może odpłacić pięknem za nadobne.

— Panie kapralu, wtrącił policjant, który dotąd stał milczący przy stole, toż tam ciasno, ośm dusz, możeby tego pana tu zostawić, aż pan wachmistrz nadejdzie.

— Ha, co? — wrzasnął kapral, ośm dusz? A mnie co do tego! Gdzie jest ośmiu, tam się i dziewiąty zmieści. A zresztą, kiedy chcesz, to niechaj i tutaj zostanie, ale na twoją odpowiedzialność!

— Na moją? A kimże to ja jestem, bym brał aresztanta na moją odpowiedzialność?

— No, kiedy nie możesz, to nie wściubiaj swego nosa, gdzie cię nie proszą, zakonkludował kapral i wziąwszy klucz z kołka, poszedł naprzód. Temera zabrał kapelusz i palto i udał się za nim.

Sień była obszerna i prowadziła z jednej strony na długi ganek, wyłożony trembowelskiemi płytami, z drugiej — na kurytarz. Z góry wpadało jasne światło słoneczne, aż po próg pustego kurytarza.

Ściany czyste, malowane, podłoga kamienna, pułap lekki, niesklepiony i czysto wybielony, wszystko to razem nadawało temu jasnemu kurytarzowi dość przyjemny pozór. Idąc wzdłuż tych ścian pomalowanych w zielone kwiaty i ornamenty, nikomu pewno i przez myśl nie przeszło, żeby za niemi mogło się kryć coś brzydkiego, coś wręcz przeciwnego, temu co się znajdowało zewnątrz, coś wreszcie takiego, co się zupełnie nie zgadzało z wszelkiemi pojęciami naszemi o mieszkaniu ludzkiem. To też nasz Temera spokojnie postępował za kapralem, choć trochę zadumany, nie o swojej obecnej jednak doli, lecz o dalekich, dawno minionych, a piękniejszych chwilach.

Przed samym progiem kapral się zatrzymał i zadzwonił niewielką żelazną kłódką, która wisiała u małych drzwi bukowych, czysto umytych i wcale prawie nieokutych. Długo rzucał kłódką, aż udało mu się wreszcie wetknąć klucz do dziurki. Klucz dziwnie jakoś zaskrzypiał przy obrocie, kłódka się rozwarła, drzwi uchyliły, kapral się cofnął i wziąwszy Temerę za barki, pchnął go naprzód i zawołał z pijanym śmiechem: „No, proszę“!

II.

Temera stanął zrazu we drzwiach jak osłupiały. Ciemność panująca wewnątrz, tak uderzyła jego wzrok, że przez chwilę nic nie mógł dojrzeć. Zdawało mu się, że wszedł do jednego z owych tajemniczych lochów podziemnych, o których czytał w dawnych powieściach. W ciemnej tej jaskini nie mógł na razie dostrzedz niczego i doznawał takiego wrażenia, jakby niewidzialna jakaś ręka przykuła go do miejsca. Tymczasem snać widoma ręka kaprala była silniejszą od tamtej i pchnęła go do środka, poczem zatrzasnęły się za nim drzwi tej ciemnej nory.

Temera stał ciągle przy drzwiach i rozglądał się do koła, nadsłuchując, czy też nie usłyszy ludzkiego głosu. Po niejakim czasie dopiero oko jego na tyle się oswoiło z panującym zmrokiem, że mógł dokładnie obejrzeć nowe swoje mieszkanie. Była to ciupka, mająca sześć kroków wzdłuż, a cztery wszerz, o jednem małem, zakratowanem okienku. Okienko to wybite było wysoko, prawie pod samym pułapem i wychodziło na ganek, tak, iż przez nie widziałeś tylko zczerniałe od starości gonty i łaty daszka, którym kryty był ganek. Słońce nigdy tam nie zaglądało. Po ścianach kaźni brudnych i niechlujnych nad wszelki opis ściekała wilgoć. Asfaltowa podłoga, mokra od porozlewanej wody, pokryta była błotem, niewiedzieć kiedy jeszcze naniesionem. Drzwi nawet ze środka nie wyglądały tak niewinnie, jak po tamtej stronie; przeciwnie, czarne były od wilgoci i okute na krzyż dwiema grubemi sztabami

żelaza, a nawet mały, czworoboczny otwór wycięty snać dla wentylacji, zatkany był deską i skoblem zabity. W pośrodku kaźni stało wąskie, żelazne łóżko z wilgotnym i brudnym, jak całe otoczenie, siennikiem, wypchanym dawno niezmienianą, przegniłą słomą. W kącie, pod ścianą stało drugie takie same łóżko. Nie było tam ani prześcieradła, ani nawet zwykłej aresztanckiej poduszki ze słomy. Powietrze było gęste i zgniłe, gdyż ani okno, ani drzwi nie mogły wpuszczać dostatecznej ilości świeżego powietrza. W kącie zaś pod drzwiami stał znany aż nadto wszystkim aresztantom „kibel“, przykryty od biedy szczerbatą, nieprzystającą pokrywką, a wydobywające się z niego zabójcze wyziewy zapełniały całą kaźnię i otaczały wszystkie przedmioty w niej się znajdujące, tworząc istną jakąś atmosferę ohydy i niechlujstwa. Tuż obok tego strasznego sprzętu stał wysoki, niczem nie przykryty szaflik z wodą — do picia!

Długo rozglądał się Temera, natężając nieprzywykłe do ciemności oczy, zanim ujrzał wszystkie te przedmioty. Serce jego się ściskało jakby ujęte lodowatymi kleszczami; nieznośne, cuchnące powietrze zapierało mu oddech; zakrzusił się, aż łzy mu w oczach stanęły.

W kaźni nikt się jeszcze nie odzywał, chociaż słychać było wyraźnie ciężki oddech kilku, jakby przytłoczonych piersi. Temera zaczął się przypatrywać swoim towarzyszom niedoli.

Na sienniku pod ścianą leżał rozciągnięty, ze szczudłem u prawej nogi, pykając czerepianą lulkę, dziad około lat pięćdziesięciu, z czarną okrągło przystrzyżoną brodą, okalającą twarz pełną, obrzękłą. Zresztą był to człowiek barczysty i krzepki. Podarta na nim, brudna koszula widocznie od kilku miesięcy była nie prana. Leżał oparty na łokciach, a nogi miał przykryte jakimś brudnym kaftanem. Niewielkie siwe jego oczy, spokojnie, a nawet nieco ironicznie patrzały na nowego przybysza, aresztanta — panicza.

U nóg dziada, skulony jak piesek, leżał mały chłopak o czarnych włosach, w czarnych miejskich spodenkach, w brudnej koszuli z cienkiego płótna niemiłosiernie podziurawionej, z pod której wyglądało szarobronzowe ciało. Twarzy jego nie mógł Andrzej dojrzeć, gdyż spał tak twardo, że go nie obudziło nawet silne trzaskanie drzwiami.

Na drugiem łóżku leżał człowiek średniego wieku, silny i krępy, z ogoloną brodą i podstrzyżonym wąsem. Bielizna na nim dobra i niezbyt jeszcze brudna, świadczyła, że niedawno się dostał do tego miejsca „płaczu i zgrzytania zębów“. Tylko twarz jego była ponura, zapadła i poczerniała jak ziemia, oczy wklęsłe głęboko, a obrośnięte, żylaste ręce od czasu do czasu ściskały mimowoli żelazne poręcze łóżka; brakowało im snać zwyczajnej, codziennej pracy. Leżał na wznak, wlepiwszy oczy

w powałę z wyrazem gniewnym a zarazem obojętnym i ani razu nie spojrzał na nowego przybysza, aż dopokąd ten sam do niego nie przemówił.

Obok, a raczej u nóg jego leżał na grubym kocu młody, wiejski chłopak. Proporcjonalna, smagła twarz jego jaśniała zdrowiem i ową przedziwną pięknością rysów, jaką się nieraz widzi u naszego ludu wiejskiego, żyjącego w bezpośredniej styczności z przyrodą, matką wszelkiego piękna. Długie miękkie włosy, krótko nad czołem przystrzyżone spadały, mu na ramiona bujną falą. Duże błyszczące, czarne oczy, wyrażały dziecinną łagodność i ciekawość, gdy się przypatrywały nowemu towarzyszowi. Ręce tylko i nogi żylaste, szorstkie, dobrze rozwinięte, świadczyły, że ten piękny chłopiec nie w rozkoszach żyje, ale wśród twardej pracy, że o byt swój walczył długo i ciężko. Andrzej, zawsze wrażliwy na wszystko co piękne, długo nie mógł oderwać oczu od tej pięknej twarzy, tem piękniejszej jeszcze od tylu innych, że w niej się malował naturalny spryt, ciekawość i niezepsute jeszcze szczere uczucie.

Reszta mieszkańców tej „sali“ musiała się mieścić na podłodze. Oko Andrzeja szybko obiegło po koleji tych nieszczęśliwych, leżących pokotem na mokrej i ślizkiej od nieprzyschniętej flegmy, asfaltowej płycie. Tam pod ścianą, koło samych drzwi leżał stary żyd, z twarzą niesłychanie chudą i zbiedzoną, suchemi jak grabie rękami i kosmatą siwą brodą. Głowa jego krótko strzyżona, leżała zwieszona na płycie, a na długiej, cienkiej szyji, widać było żyły wzdęte jak postronki. Spał twardo, z otwartą, bezzębną gębą, chrapał i sapał jakby poderżnięty, a z ust spływała po brodzie ślina. Przy nim siedział pijany jakiś, obdarty wieśniak, w guni bez poły, butach powiązanych sznurkami, czapce barankowej mocno wytartej i w szarawarach płóciennych bez jednej nogawicy; zamiast rzemienia, opasany był łykiem. Siedząc na podłodze szlochał z cicha, jak gdyby dopiero co przestał płakać.

Z drugiej strony łóżka, pod ścianą, naprzeciw drzwi, leżał jakiś młody jeszcze człowiek, liczący niewięcej nad 28 do 30 lat, z białą cerą, jasnym zarostem na twarzy, o siwych oczach i krótkich rudych włosach na głowie. Broda jego snać dawno nie widziała grzebienia ani nożyczek a swojemi kudłami przypominała rozrzucone gniazdo ptasie. Na człowieku tym tyle było nawieszanych szmat, że leżąc tak na podłodze, wyglądał jak kupa ścierek, ciężko oddychająca w tej dusznej przeludnionej ciupce.

Andrzej Temera z bolem w sercu, wodził troskliwem wzrokiem po tych ciałach i twarzach ludzkich i sam nie wiedział, co mówić, co myśleć. Ileż to boleści piekących, niespodzianych i utajonych przedtem, przedstawiło mu się naraz w tej ciemnej wstrętnej klatce!.. Wszak

wszyscy ci oto ludzie, to jego bracia, którzy tak samo jak i on potrafią odczuć i brzydkie i piękne strony życia! A ci, co ich tu zamknęli i trzymają w tej przebrzydłej norze — toż i to są ludzie, ojcowie dzieci, pracujący na chleb, umiejący również czuć i brzydkie i piękne strony życia! Jakże to się stało, że tu naraz rozwarła się taka straszna przepaść między ludźmi? Cóż to takiego?

Andrzej, jak od potężnego ciosu, schylił głowę i opuścił ręce. Na sercu swem uczuł w tej chwili takie brzemię, chłód i ciasnotę, jak gdyby z pośród jasności dziennej i swobody wrzucony został do głębokiej studni i upadł na dno rozbity, oszołomiony. Istotnie, jam na dnie, myślał, na dnie społeczeństwa — cóż, jak nie dno zewsząd mnie otacza, jak nie owi wyklęci parjasowie, napiętnowani straszną, hańbiącą pieczęcią — nędzy!...

III.

— A skądeście to, Panie? — pierwszy zagadnął Andrzeja dziad.

— Z Tarnopola.

— I cóż się to z wami panie stało, że zapędzili was aż tutaj?

— Ot, co się stało!... we Lwowie skończyłem szkoły, a teraz wybrałem się właśnie na wieś tutaj, do domu jednego z kolegów — na lekcję.

Lecz jak to zwykle, gdy się człek winnym nie czuje, to i napaści się nie spodziewa — tak i ja też — nie zabierałem ze sobą żadnych papierów, ani paszportu, ani nic zgoła. Aż tu, spotykamy w drodze żandarmów, którzy zaczynają mnie pytać zkąd ja i kto taki, a przekonawszy się, że nie mam przy sobie papierów, zaprowadzili do starostwa. Starostwo rozpytało się o wszyskiem i kazało mię tu odesłać, powiadają, że chce mię ono ciupasem odstawić do miejsca urodzenia. Ot, taka sprawa.

— No — no, także też! — odrzekł dziad. — Zważcie, panoczku, że i ze mną było także coś podobnego. Ja jestem, jeśli pan wie, z Wołoszczy — wioska jest tu taka, bardzo niedaleko ztąd. Służyłem przedtem przy wojsku... przestrzelili mi nogę w Netaliji... stałem się przeto do wojska niezdatnym i puszczono mię na wolność. Powlokłem się tedy o szczudle do domu, a tam pustka — chcesz — to mrzej z głodu, chcesz idź na żebraninę. A tu, panie, człowiek jeszcze siłę czuje w sobie, wstyd żebrać — a jakaż to praca bez nogi koło roli? Poszedłem więc do Borysławia. Tam robota inna, tam stać tylko trzeba i korbą kręcić. Robiłem tam coś koło dziesięciu lat, i zarabiałem tyle by módz przeżyć jako-tako. Ale, po prawdzie, tom często nie dojadł — a odkładałem po trochę na starość i chorobę... No — i tak grosz do grosza nazbierało się coś pieniędzy — a i odzieży też był mały zapas... ot jak zwykle

człowiek żyje i plany układa; aż tu naraz zesłał Bóg chorobę, która powaliła mnie tak znagła, jakby mnie kosą kto podciął. Wyleżałem sześć miesięcy w komórce u żyda... szczęście jeszcze, że to nie było zimą. Wychodzę właśnie śnieg upadł — cóż tu począć? Pieniądze wszystkie się wydały, odzienie trzeba było zastawić — człowiek poleżał by jeszcze po chorobie, a tu żyd wygania, bo nie ma czem zapłacić. Iść na robotę, sił nie ma — dołoż ty moja — gdzie ja się obrócę? widzę, że jakbym nie przemyśliwał, innej rady nie znajdę, poszyłem więc torby i poszedłem po chatach o żebranym chlebie. Dzięki Bogu, zimę tę jakoś szczęśliwie przebyłem i myślałem już z wiosną stanąć do roboty — aż oto za majdanem zdybali mnie żandarmi: A skądeś to „dziadzie"? A z Wołoszczy, rzekę. Jakto? to ty nie wiesz, że teraz zakazano obcym dziadom włóczyć się po wioskach? Każda wieś musi utrzymywać swego dziada a włóczyć się nie wolno. Ale ja — mówię — nie dziad; prosiłem kilka razy o kawałek chleba, bo byłem słaby i niemogłem zapracować... Ale gdzież tam, nie chcieli ani słuchać, a jeden tak kopnął mnie nogą, że aż mi się prababka przypomniała — no i powlekli mnie do starostwa. A tu pan zastępca starosty, (samego starosty nie było, umarł) ani się o co spytał i zaraz oddał do „małego sądu" za włóczęgostwo. Zasądzono mnie na dwa tygodnie aresztu i odesłanie ciupasem na miejsce urodzenia. Odsiedziałem te dwa tygodnie, poczem przyprowadzono mnie tutaj, gdzie już kisnę, chwała Panu Bogu w piątek będzie półtora miesiąca. I niby to się za karę nie rachuje, a na Boga żywego, czy to nie kara? już i w piekle większej nie znajdziesz! A najgorsza, że nie wiem jak długo to się pociągnie, niezbyt się z tem kwapią i nie pozbierali jeszcze wiadomości.

— No, a jak tu siedzicie? czy bez żadnej przerwy? zapytał Andrzej - przejść się nie puszczają?

— Ech, gdzież tu się przechadzać! — odrzekł dziad z uśmiechem, ale puszczają, co dnia rano na miasto rynek zamiatać.

— Wszyscy?

— Nie, ot ja — ten oto mały Mitro i Stebelski, ów ten w szmatach, więcej nikt.

— A reszta nie wychodzi wcale na świeże powietrze?

— A nie, chyba czasem ten gazda pójdzie po chleb i masło. A tego starego żyda i tę Magdalenę zapłakaną w półtorej nogawicy i w pół guńce, to dopiero przyprowadzili i nie wiem jeszcze jak tam z nimi będzie. Ten żyd, to nim go tu przywiedli ciupasem, coś ze dwa miesiące siedział w Borysławiu, teraz powiada, że przyszły jego papiery i że pójdzie sobie jutro, pojutrze. Znamy się z nim dobrze, kręcił nieborak ra-

zem ze mną korbę w Borysławiu przez długie lata! Teraz wszystkich gonią z Borysławia, kto nie ma książeczki, no i jego wyrzucili.

Andrzej spojrzał na wynędzniałą, wyschłą twarz żyda, tak wyglądającą jakby zrobioną była z patyczków i obciągnięta burym, zmarszczonym safjanem. Ciężkie chrapanie w piersi zwiastowało, że nie długo pożyje, a postać cała świadczyła wymownie, że życie to było tylko ciągłym wysiłkiem i wieczną walką z nędzą.

— Szczera to dusza i złote serce — mówił dalej dziad. — Chociażby sam był Bóg wie w jakiej biedzie, nigdy nie będzie się skarżył przed drugimi, a jeszcze innego pożałuje i pomoże mu jak potrafi niby brat rodzony. Takich żydów niewielu pan znajdzie, zaprawdę, niewielu. — Ot, poprostu, wyrósł między naszymi, biedował, pracował od mała jak każdy z nas, to też teraz gdyby nie broda, nie pejsy i nie ta długa kapota, nikt by nie poznał w nim żyda.

— I jakże wy tu żyjecie? spytał Andrzej, rozglądając się lepiej po kaźni, do której oczy jego zaczęły już powoli przywykać. Obaczył w niej piec żelazny, do połowy wmurowany w ścianę, właśnie w głowach tego łóżka, na którym leżał dziad, a na piecu duży bochenek żytniego chleba, jaki codzień sprzedają przedmieszczanki na drohobyckim rynku.

— Jak żyjemy? chlebem żyjemy, ot i wszystko, odpowiedział dziad.

— Chlebem tylko?

— Chlebem.

— I nic ciepłego nie jadacie nigdy?

— Oj, paneczku, ja już Bogu dzięki półtora miesiąca nic ciepłego w ustach nie miałem! Jak dostaniesz na dzień tych 14 krajcarów, to tnie wiele za nie można kupić? Chleba mało za 10 krajcarów, a tu porzeba kupić soli, cebuli trochę, tytoniu — ot i po pieniądzach. Kupuję co drugi dzień chleb taki, kosztuje 20 ct., czasem zostanie mi się z niego kawałek na trzeci dzień, wtedy kupuję sera do cebuli, mam jej garść całą, jest czem chleb zajeść przez dzień cały. A ci inni nieprzymierzając, to nie mają i tego, jak rano weźmie sobie jeden z drugim taki bochenek za 10 ct., to nie zostawi z niego i kruszyny — i znów drugiego rana wyczekuje. Tylko ot ten parobczak robi tak jak i ja, bierze sobie chleb na dwa dni i lepiej na tem wychodzi. On by stał nawet daleko lepiej, bo nie może jeść suchego chleba, ale ot ci tutaj — dziad wskazał nogą na skulonego chłopca, co przed nim leżał, ci biorą od niego. Swój zjedzą rano, a w południe do Mitra jak do swej komory — Mitro, daj chleba! a on głupi daje.

— A cóż to ja, chleb będę przetrzymywał, a oni głodzić się mają, odezwał się dźwięczny głos Mitra i jasny, łagodny uśmiech rozlał się

po ślicznej jego twarzy i zabłysnął w oczach, dodając im więcej jeszcze piękna i powabu.

— No, no, głuptachu jeden! zobaczyłbyś, co by ci powiedzili, gdyby oni mieli, a tybyś głód cierpiał. Wyprosiłbyś od nich chyba kamień do roztrącenia głowy!

To i cóż rzekł Mitro po prostu, ja bym też ich i nie prosił.

— A ty za co tu siedzisz? rzekł Andrzej zwracając się do Mitra. Za co cię tu trzymają, komuś ty głowę rozbił?

Zaśmiał się Mitro.

— A nikomu, odparł, przeciągając *a*, jak to zwykli czynić bojki-górale. Wzięli mnie z Borysławia, za to żem książeczki nie miał.

— A sam ty zkąd?

— A z Dzwiniaca. Mama mi zmarła jeszcze na „kolerę“ a ojciec jak pić poczęli, tak i z gruntu się wyprzedali, obdłużyli chatę i nakoniec zmarli tej oto jesieni. I cóż miałem z sobą robić? — widzę idą parobcy nasi do Borysławia, ja z nimi. Ale co mi tam za zarobek, ani ugodzić ja się umiem, ani na wyciąganie sił nie ma, ot do młynka chyba lub do wyrzucania z kibla wosku, a za to płacą u nas cztery, a najwięcej pięć szóstek. Przezimowałem jednak jakoś i na wiosnę chciałem pójść gdzie na służbę, aż tymczasem żandarmi przyprowadzili mię tutaj.

— I dawno już siedzisz?

— A już miesiąc się skończył rzekł Mitro spokojnie, głosem dźwięcznym, melodyjnym, niemal dziecięcym. Wszyscy my tu z Borysławia, mówił dalej prócz Stebelskiego.

— No ten, to prawdę powiedziawszy, sam sobie biedę wynalazł, rzekł dziad smutnie się uśmiechając. Człowiek uczony gimnazjum ukończył — tylko ot t u t a j, widzi Pan — dziad powiódł ręką po czole parę razy, — tutaj mu coś brakuje. Był on z początku pisarzem przy starostwie w Samborze, później u adwokata jakiegoś, a potem to już zupełnie się opuścił. Najął się do gazdy paść bydło, wreszcie zmarnował się powoli... Ale pracowity człek i nikomu nie szkodzi. Ma sobie swoje książeczki, tu nawet odebrali mu ich parę.

— A zkądże on tu przybył?

— Z Sambora gdzie mieszkał przez długi czas i nikt mu nie mówił ani słowa, aż tu nagle dowiaduje się tej wiosny, że powołują rezerwistów do becyrku. A on, panie, urodził się w tutejszym cyrkule, przyjechał więc tutaj stawać do wojska. Ale on ma abszyt, jeszcze od tego czasu, gdy sobie palce odmroził? — A jakże to on sobie palce odmroził?

— Mówię panu, że jemu tam coś w głowie... nie staje... tak mi o tem sam opowiadał: idę sobie zimą, a mróz był straszny: idę do Sambora z jakiejś wioski, aż tu patrzę leży kawał żelaza na drodze,

odłamek sztaby, czy coś takiego. Widocznie czyjaś zguba, pomyślałem sobie, trzeba to oddać do policji niechaj ogłoszą. I wziął żelazo w gołą rękę i niósł je więcej niż milę.

— Półtorej mili — poprawił obojętnie sam Stebelski, który widocznie leżąc na ziemi słuchał naszej całej rozmowy. Andrzej podniósł nań oczy, a dziad prawił dalej, jakby go to nic nie obchodziło, że Stebelski słuchał jego opowiadania. Przynosi do policji, a tam wszyscy w śmiech: chcą zabrać żelazo, a tu ono się nie daje, tak przymarzło do ręki. Zaraz do szpitala go odesłali, ale próżno, rady nie było żadnej: musiał mu doktor palce poobrzynać.

Stebelski jakby na stwierdzenie tych słów podniósł wysoko prawą rękę, której wszystkie palce były odjęte.

— A szkoda go, człek uczony, nikomu nic złego nie zrobi, spokojny. Mają go też odesłać na miejsce urodzenia, on już tu miesiąc siedzi. I niedość, że skazali go na taką mękę, jeszcze mu co dnia te 14 ct. z własnych pieniędzy wydzielają. Bo jak go policjanci ujęli, na dworcu, jak tylko przyjechał, to zaraz odebrali od niego ten „abszyt" i 39 reńskich i z tych pieniędzy go karmią.

— I świadectwo szkolne z klasy ósmej — dodał Stebelski — 3 książki, 39 reńskich i świadectwo z ósmej klasy — powtórzył raz jeszcze, jakby się starał słowa swe zapamiętać. Wraz też podźwignął się na podłodze, siadł i zwracając bladawą swą twarz bez barwy i wyrazu, spytał Andrzeja:

— Et dominus... intelligit latine?

— Intelligo.

— Et germanice?

— Intelligo.

— Und Sie... Sie kennen die allgemeine Geschichte von Gindely, die hat man mir abgenommen, drei Bände: Geschichte des Alterthums, Geschichte des Mittelalters und die — die Geschichte der neuen Zeit.

— Człek uczony... rozumna głowa... — rzekł z cicha dziad do siebie szkoda prawdziwie, że się tak zmarnował! Już to cała ich familja taka, z matką nieboszczką także nielepiej było...

— Et quas scholas dominus absolvit? — pytał dalej Stebelski.

— Byłem we Lwowie na wydziale filozoficznym.

— Ergo philosophiam majorem!

— Nie — rzekł Andrzej, filozofia jest tylko jedna, nie ma mniejszej lub większej, jest tylko mniej lub więcej fałszywa, zresztą czy i to prawda, jeden Bóg wie tylko!

Stebelski słów tych słuchał z wytrzeszczonemi oczyma, jakby wcale ich nie rozumiał, schylił potem głowę i znów legł na mokrą, śliską od błota podłogę.

IV.

— A ten oto żydek — ciągnął dziad po chwili milczenia, ukazując nogą czarnowłosego chłopaka, leżącego na jego łóżku, to także tutejszy. Należy on, zdaje mi się, do „kieszonkowych majstrów“. Nie wiem z jakiej racji i po co go tu tak trzymają. A siedzi już koło dwóch niedziel. Nieprawdaż, Mitro?

— A tak już ze dwa tygodnie — poświadczył Mitro.

— Niewiedzieć, co z nim będzie, bo go jeszcze ani razu nie wołali do protokułu.

— Ani razu, od dwóch tygodni? — zawołał Andrzej.

— Tak, nie wołali. Siedzi i siedzi i pies za nim nie szczeknie, a panu inspektorowi się nie spieszy... A ten oto drugi, to nasz gospodarz, ten już tu zimuje.

— Jaki drugi? — zapytał Andrzej, nie widząc nikogo więcej.

— O, jest tu u nas jeszcze jeden „burger“. A wstańże tam, leniuchu, rusz się z miejsca, zgnilaku!

Na to wezwanie dziada, zaczęło się coś ruszać w zupełnie ciemnym kącie za łóżkiem i ztamtąd jakby z mogiły, zwolna podnosiła się jakaś mara straszna, jakby nie z tego świata. Był to parobczak lat około 24, średniego wzrostu, barczysty, o płaskiem, na tył odsuniętem czole i długich rozczochranych włosach, które i bez tego już strasznej jego twarzy nadawały jeszcze straszniejszy pozór. Duże i nieruchome oczy, świeciły martwym szklannym blaskiem, jak próchno połyskujące w ciemności. Twarz jego, jak i wszystkich w ogóle mieszkańców tej nory, była szaro-żółta, jak ziemia i pokryta jeszcze prócz tego grubą warstwą brudu. Był on zresztą prawie całkiem nagi; trudno bowiem nazwać ubraniem koszulę, z której pozostał tylko kołnierz, rękawy i podłużny szmat, wiszący na plecach aż po pas. Więcej nic nie miał na sobie. Andrzej aż się wzdrygnął z żalu i obrzydzenia, ujrzawszy tę istotę ludzką, do ostateczności zaniedbaną i zdziczałą. Spojrzawszy raz jeszcze uważnie na tego człowieka, Andrzej spostrzegł, że nogi jego były spuchnięte jak konewki i błyszczały jakimś sinawem, właściwem wodnej puchlinie połyskiem. Podobnież i brzuch straszliwie wydęty przypomniał Andrzejowi owych dzikich, co się żywią ziemią a których widywał na rysunkach z podobnie wydętymi brzuchami. Jedne tylko ręce, silne i zdrowe, świadczyły, że to człowiek pracy, chociaż niewiedzieć jakim trafem nieszczęsnym od niej oderwany i tu wrzucony na swoją zgubę.

— Ot widzicie, mówił dziad — to nasz burger, a raczej Bowdur, bo takie jest jego przezwisko. On tu w tej kaźni jest gospodarzem, bo

tu zwyczaj taki, że kto najdłużej w kaźni siedzi, ten się nazywa gospodarzem. On tu, dzięki Bogu już przezimował, a widzicie, jak się spasł, nie urzekając! My też go trzymamy na pokaz; może go kupią na zarżnięcie Teraz to już nie bardzo go nawet karmimy, ciągle leży i leży, bo tak się już spasł, że nie może stać na nogach. Rękami tylko, co zarwie, to już jego; o, w rękach to silny jeszcze; no, ale mniejsza o to wyrośnie i z tego!

Wszyscy w kaźni głośno się śmiali z żartów dziadka, prócz Andrzeja i Bowdura. Ten ostatni stał w tem samem miejscu, gdzie się ukazał Andrzejowi, stał ponury, jakby się namyślał nad jakimś śmiałym czynem, a przez na wpół rozwarte, sine jego usta, widać było zaciśnięte zęby, jak gdyby zbierał całą odwagę, dla wykonania zamierzonego dzieła. Oczyma zaś zwolna wodził po kaźni, chociaż wzrok zatrzymywał się zawsze na człowieku leżącym na łóżku i drzemiącym wśród gwaru.

— On u nas ani do miasta nie wychodzi — prawił dalej dziad — ani na robotę; najpierw sam nie chciał, a teraz, choćby i chciał, to go nie puszczą.

— Owa, ja sam niechcę! wtrącił chrypliwym głosem Bowdur. Niech ich djabli, z ich robotą! Co mi kto za nią da?

Wyrzekłszy te słowa, Bowdur przelazł przez śpiącego na podłodze żyda i chwiejnym krokiem poszedł do skopca, podniósł go do góry jak piórko, napił się wody i wnet sięgnął pod głowę drzemiącego wieśniaka, wyjął ztamtąd glinianą fajeczkę i wyskrobawszy z niej niedogarki tytoniu t. zw. „bagę“ wsypał sobie ten specjał do ust i począł żuć zwolna, wypluwając od czasu do czasu obrzydliwą czarną maź i pstrząc nią ściany i podłogę. Spełniwszy ten śmiały czyn, odetchnął, stanął na środku kaźni i machnął ręką:

— Otóż nie pójdę na robotę! Djabła zjedzą łysego! Wolę zgnić tutaj, a nie pójdę! I znowu splunął czarną mazią na ścianę, nad samą głową śpiącego żyda.

— A za cóż cię tu tak długo trzymają? — spytał drżącym głosem Andrzej. Bowdur wypatrzył się na niego dziko, jak gdyby to pytanie dotknęło bolesnej jakiejś strony jego serca.

— Trzymają, bo trzymają! — wybąknął Bowdur, po chwili zaś dodał: chcą mię odstawić ciupasem do tej wsi, zkąd ja rodem, a ja na to odpowiadam: żem się w żadnej wsi nie rodził. — A gdzieżeś ty się rodził? — Rodziłem się na drodze. — No, a na czyim gruncie była droga? — Droga na ta niczyjim gruncie, bo sama nie ma gruntu, rodziłem się na wodzie. — Więc gdzie cię chrzcili? — Tego nie pamiętam, — idźcie spytać tych co mnie do chrztu trzymali — szczęście, dolę odebrali. — No, a gdzieżeś się wychował? Między złymi ludźmi. — Ale w której wsi?

Taż oni w każdej źli! — Ot i cały mój protokuł. O nic mnie więcej nie pytali, kazali tu zaprowadzić, a tu dzięki Bogu takiem głupiem pytaniem nie dokuczają.

Znowu splunął Bowdur, znowu przelazł przez szlochającego chłopa i śpiącego żyda i znikł w swym kącie nakrywszy nogi podartym jakimś workiem.

Andrzejowi jeszcze straszniej się zrobiło. gdy usłyszał opowieść Bowdura. Cóż przyniosło życie temu człowiekowi? Jakie mogą być jego wspomnienia, jakie nadzieje? Andrzej próbował wżyć się myślą w położeniu takiego człowieka i czuł, że on rychło udusiłby się w tej okropnej przepaści bezdennej. Rozogniona fantazja Andrzeja malowała mu sierotę bez ojca i matki, bitego i deptanego od dzieciństwa ludzką pogardą, który w życiu swojem nie zaznał ani wesela, ani szczerości, ani miłości. W rzeczy samej było trochę inaczej — miewał i Bowdur chwile szczęścia i miłości; i on miał towarzyszy szczerych — takich jak on biedaków bez jutra, opuszczonych i osieroconych, lecz wszystkie te wspomnienia znikły teraz pod grubą warstwą zdziczenia i niepamięci, a myśl jego, kręcąc się ciągle jak zaklęta między szczyptą „bagi“ i kęsem chleba nie sięgała już ani w przeszłość minioną, ani w ciemną przyszłość.

Panom „inspektorom“ nie spieszyło się wcale wypuścić go; — to też siedział sobie Bowdur opuszczony od Boga i ludzi, siedział — i puchł i gnił żywcem, zapominając o wszystkiem co go kiedyś otaczało na świecie, i z upadkiem sił nabierając coraz większej odrazy do pracy.

— Więc on się żywi samym chlebem tylko? spytał Andrzej dziada.

— Samym suchym chlebem już od sześciu miesięcy. I to tak, że gdy rano poszle kupić bochenek za 14 centów, to go położy przed sobą i natychmiast zje do szczętu, a potem czeka aż do następnego dnia, chyba że wieczorem wyprosi od tego ot głupiego bojka kawałek chleba rozumie się na wieczne nie oddanie...

— I nigdy nie wychodzi z tej ciupy?

— Nie, odkąd ja tu jestem, niewidziałem go ani razu na dworze. Niewiem, jak przedtem było. Bowdurze, czyś ty przedtem kiedy wychodził?

Bowdur zakrztusił się suchym kaszlem i bąknął: — Nie, nie wychodziłem nigdzie, tylko raz do protokułu.

— Jak on tu przetrzymał zimę w tem adamowem ubraniu, tego już nie wiem — mówił dziad. — Gdy mię tu przyprowadzono, kończyły się właśnie mrozy. Przychodzę tu, zimno takie, że niech Bóg ratuje, a on sam w kaźni leży w tym samym kącie co ot teraz, i tym samym workiem przykryty. Cały był siny jak bez i nic nie mówił. Chodzę po

kaźni, trę ręce i wywijam niemi co siła, ale widzę że nic nie pomaga, więc zaczynam wołać: „Ej, — ludzie, wszakci ja nie syn Boży, za cóż mnie tak męczycie? Toż to tylko syna Bożego tak męczyli faryzeusze, jak wy mnie teraz!“ Z razu gniewali się na mnie, ale wreszcie zapalili trochę w piecu — niby na pokaz, żeśmy się cokolwiek ogrzeli. I odtąd aż do końca zimy, ciągle po trosze palili, choć co drugi dzień.

— A dopóki was nie było, to nie palili wcale? — zapytał Andrzej, wstrząsając się mimowoli, jakby od zimna.

— Bowdur mówi, że palili, ale zrzadka, tak, kiedy im się podobało.

— A dlaczegożeś się nie upominał? zwrócił się do niego Andrzej.

— Prosiłem z początku, ale bili mię za to, bom był sam.

— Sam byłeś! — krzyknął ze zdziwienia Andrzej. A długożeś sam siedział?

— Cały miesiąc. Nikt się jakoś nie trafiał, a jeżeli się trafił, to go sadzano w drugiej kaźni, chcąc mi robić na przekor.

— A doktor nigdy tu niezachodzi?

— O jeszcze czego nie stało! doktor! Któż tu co da doktorowi? rzekł z gorżką ironją dziad.

— Ależ bo prawo wyraźnie nakazuje, aby doktor codziennie, albo już najmniej co tydzień oglądał wszystkie areszty.

— Może gdzie jest takie prawo, ale u nas w Drohobyczu, nie ma go! Co nam zresztą do przepisów! My sobie tu sami rządzimy!

— Więc nigdy tu nie zagląda żadna kontrolująca władza?

— Nie, nigdy — i koniec. *(C. d. n.)*

Sprawozdania literackie.

Herbert Spencer: *„Jednostka wobec państwa“. Warszawa, 1885.*

Zadziwiającym zaiste jest pośpiech, z jakim świeże dziełko Spencera przyswojono w kraju naszym, tak mało ochoczym do pochłaniania poważnych utworów naukowych; zastanawiającym — odgłos pochwalnych hymnów — jakimi przywitały ją rozmaite obozy naszej prasy. *)

*) Zdaniem np. jednego z przedstawicieli liberalnego obozu, p. Karłowicza — rozprawy Spencera odznaczają się „nieprzepartą“ argumentacją“ i posiadają „tyle doniosłości wszechludzkiej, że udostępnienie ich dla publiczności polskiej byłoby praw-

Czyżby broszura ta naukowością przewyższała „Pierwsze zasady“ lub „Psychologię“? Czyżby nęciła nowością poglądów lub trafnością rozwiązań? Zgoła nie! w skwapliwości ubiegła nas wprawdzie prasa rosyjska, która w jednej z drukarń petersburskich, drukującej manifesty i rozporządzenia urzędowe, nie omieszkała jeszcze przed półtora rokiem, i do tego kosztem państwa wydać niektóre ustępy z „Jednostki w obec państwa“; u nas za to miejsce pobudki państwowej zastąpiła inicjatywa prywatna...

Mniejsza zresztą o te szczegóły. Przejdźmy do samego dziełka, na treść którego składa się kilka oddzielnie drukowanych szkiców, połączonych wspólnością celu, którym jest walka przeciw wtrącaniu się państwa w bieg spraw społecznych. Spencer rozróżnia dwa rodzaje ustrojów społecznych: ustrój współdziałalności przymusowej, czyli wojenny i ustrój współdziałalności dobrowolnej czyli przemysłowy. Ustrój typu pierwszego przedstawia nam armja regularna, której jednostki rozmaitych stopni winny spełniać pewne rozkazy pod karą śmierci i otrzymywać pożywienie, odzież i żołd w stosunku z góry narzuconym; ustrój zaś kooperacji dobrowolnej, czyli przemysłowy, reprezentuje stowarzyszenie wytwórców i rozdawców, którzy ułożyli się między sobą wzamian za płacę umówioną oddawać umówione usługi i którzy mogą zrywać dowolnie umowę po uprzedniem tego zapowiedzeniu. Dwa powyższe typy stanowią, zdaniem Spencera, dwie jedyne postacie ustrojów społecznych i wypełniają sobą całą przeszłość i teraźniejszość ludzkości. W dziejach Anglji whigowie pierwotni bronili haseł ustroju przemysłowego i dążyli do wyzwolenia jednostki z pod przymusu państwowego, torysi stali na gruncie kooperacji przymusowej. Lecz czasy się zmieniły — whigowie zerwali z dawnemi zasadami i stanęli na jednym gruncie z torysami. Prawie całe dziełko filozofa angielskiego skierowane też jest ku udowodnieniu, że obecnie w Anglji daje się zauważyć zwrot do oparcia ustroju społecznego na przymusie wojennym. Państwo np. całym szeregiem bilów narzuca prawodawstwo fabryczne, opiekujące się robotnikiem i ścieśniające samowolę kontraktu między pracodawcą a najemnikiem. Wszędzie wzrasta nieufność do wolnego i niekrępowanego biegu interesów społecznych. „Jakiś minister, zwracając się do swych wyborców, mówi z pogardą o usiłowaniach towarzystw dobroczynności... i domaga się jakiejś wielkiej reformy rządowej. Regulowanie godzin pracy w pewnych zawodach upowszechnia się jeszcze bardziej za dni naszych. Domagają się też coraz natarczywiej bezpłatnego nauczania dla wszystkich. Poczęto rozgłaszać, że opłata szkolna jest niesprawiedliwą, że państwo winno ponosić cały jej ciężar“ (str. 21) — Są to zdaniem Spencera, dowody cofania się. W szkicu „Wielki przesąd polityczny“, zastanawiając się nad stosunkiem większości do mniejszości w państwie, autor wykazać usiłuje, że przemysł i wszelkie zatrudnienia, zaspakajające potrzeby życia pewnego społeczeństwa, wymagają przedewszystkiem nie krępowania wolności umów, bez względu na interesy większości. Słowem „posłuszeństwo mniejszości odnośnie do większości jest prawnem o tyle, o ile nie narzuca się innych ograniczeń własności i wolności prócz tych, jakie są potrzebne dla zapewnienia tejże wol-

---

dziwą zasługą tłómacza“; a w mniemaniu Dr. Skrochowskiego, zajmującego względem krytycznej wiedzy wręcz odmienne niż p. Karłowicz stanowisko — Spencer wzniósł się „aż do pojęć na wskróś chrześcijańskich“ i „kwestję nowożytnej a szczęśliwie nam dziś w Europie panującej omnipotencji państwa“, omówił tak znakomicie, iż nawet „prawowierny chrześcijanin lepiej w jądro rzeczy trafić by nie mógł“.

(p. „Przegląd Powszechny“ zeszyt II. 1886 r.)

ności i własności". „Nie ma co mówić, że do tych nieprawnych ograniczeń należy wszelkie prawodawstwo fabryczne, zakładanie kosztem państwa szkół publicznych bezpłatnych i t. d. „Nie potrzeba przekształcać tych stosunków normalnych między obywatelami, według których każdy utrzymuje wzamian za swą pracę umiejętną lub nieokrzesaną, fizyczną lub umysłową, zapłatę określoną popytem" (str. 121). Przeciw wszelkiemu wtrącaniu się państwa w sprawy ekonomiczne a zwłaszcza w stosunki ugodowe między pracodawcą a robotnikiem, skierowane są i pozostałe szkice. Spencer występuje w nich jako krańcowy zwolennik manczesteryzmu, nieustępujący w swej żarliwości liberalnej i nienawiści ku krnąbrnym rękom robotniczym największym koryfeuszom burżuazji angielskiej w rodzaju Ure'ów, Seniorów i innych.

Ciekawe są niektóre argumenty Spencera. Kiedy Malthus w imię szczęścia ludzkości powstawał przeciw wszelkiemu polepszaniu doli klas robotniczych, gdyż każde osłodzenie ich losu wywoływać miało jedynie zwiększenie się liczby małżeństw, spotęgowanie ilości potomstwa i pogorszenie warunków bytu, filozof obecnej doby czyni to samo w imię innych, rzekomo więcej naukowych zasad. Na globie ziemskim, powiada, panuje wszędzie walka o byt, w której giną gorzej — a utrzymują się przy życiu jedynie lepiej przystosowani. — Wedle Spencera każdy umierający z głodu, każdy cierpiący nędzę z braku pracy, jedynie swem postępowaniem zasłużył na taką karę! Czyżby filozof angielski nic nie wiedział o kryzysach, wyrzucających setki robotników z fabryk? zapyta czytelnik. Spencer wie o tem, lecz nie wierzy, by ofiarą tych klęsk padali lepsi. „Widząc, powiada, jak są oni (t. j. ludzie bez pracy) liczni na małej przestrzeni, rozumiemy, że dziesiątki tysięcy ludzi podobnych mrowi się w Londynie. — Nie mają zajęcia, powiecie. Powiedźcie raczej że albo odrzucają je, albo też każą się rychło wyrzucać z pracowni. Są to po prostu nicponie, którzy w ten lub inny sposób żyją kosztem ludzi godniejszych" (str. 52).

Nie dziwota, że wobec podobnych zapatrywań każdą pomoc cierpiącym Spencer musi uważać za rzecz „niesprawiedliwą", „nierozumną". Nazywając ją wprowadzeniem moralności rodzinnej na pole czynów społecznych, utrzymuje, iż „nawet cząstkowe" wprowadzenie porządku rodzinnego do porządku państwowego musi wywołać opłakane następstwa, gdyż „społeczeństwo będzie niezdolnem wytrwać w walce z innemi społeczeństwami, jeżeli zapewnia korzyści swym jednostkom niższym (t. j. „źle uposażonym) kosztem swych jednostek wyższych (dobrze uposażonych, jak powiada o kilka wierszy wyżej — str. 119). Polityka taka jest niesprawiedliwą, stara się bowiem powiększać cierpienia osób najgodniejszych współczucia dla ulżenia osobom niezasługującym na żadną litość. Jednem słowem osoby będące tak bardzo litościwemi, iż nie chcą pozwolić, aby walka o byt gnębiła ludzi niegodnych, cierpieniami wynikającemi z ich nieudolności lub złego sprawowania się, są dość nieczułe aby czynić walkę jeszcze cięższą dla ludzi godnych i aby przysparzać im i ich dzieciom klęski sztuczne oprócz naturalnych, które znosić muszą... „Czyż nie jest okrucieństwem zwiększać cierpienia lepszej części ludzkości dlatego, aby cierpienia złej części były zmniejszonemi?" (str. 131). A takiem okrucieństwem są bezpłatne szkoły, gdzie dzieci ubogich uczą się za podatki przez zamożnych opłacane, związki robotnicze, zmuszające „zdolniejszych do solidaryzowania się z słabymi i tracenia swej premji za zdolności", prawodawstwa fabryczne, opiekujące się słabszymi, systematy asekuracji obowiązkowych, budowanie domów dla robotników kosztem państwa

i t. d., i t. d. Lecz nie dość — raz zaprawiwszy się na tych wzorach „okrucieństwa“, będziemy musieli iść dalej w tym kierunku, rozumuje Spencer, i jako przykład podaje, że kiedy w 1834 r. wydano prawo, regulujące pracę kobiet i dzieci w niektórych rękodzielniach, tedy w dalszym ciągu rok rocznie musiano je rozszerzać. Zwłaszcza trapi Spencera bezpłatne nauczanie, którego jedynem następstwem jest ciągle wzrastająca hardość warstw pracujących. Odsyłamy czytelnika do str. 55, gdzie między innemi, jako dowód szkodliwości takiego nauczania, Spencer przytacza „obecne położenie „w Niemczech. Nawet najmniej przenikliwy czytelnik zrozumie, że mowa tu o niemieckiej partji robotniczej.

Nie będziemy się dalej zagłębiali w wywody Spencera. Przytoczyliśmy jedynie szkielet jego rozumowań, wyciągając przy tem nie jakieś pojedyńcze lub wyjątkowe zdania, lecz poglądy zasadnicze. Tych kilka wyciągów — to jedynie garstka z mnóstwa podobnych. Jak we „Wstępie do socjologji“, w „Teorji organizmu społecznego“, „Etyce“, „Statyce społecznej“ i wielu szkicach, tak i w niniejszej swej pracy Spencer występuje w roli szermierza — interesów kapitału wolnego w swych ruchach i pracożerczych tendencjach.

Rodbertus Jagetzow: *„Zur Beleuchtung der socialen Frage. Theil II. Berlin, 1885.*

H a b e n t s u a f a t a e t h o m i n e s, z zupełną rzetelnością możemy wyrzec o Rodbertusie. Za życia swego nieznany szerszej publiczności, zamknięty w ciasnym zakresie stosunków osobistych, zasłynął dopiero po śmierci, otoczony aureolą genjusza przez takich żarliwych adeptów jak Moryc Wirth, Maks Quarck, Schippel i inni, wynoszony pod niebiosa przez „urzędową“ wiedzę gospodarczą, życzącą sobie podeprzeć imieniem Rodbertusa ekonomiczne zachcianki księcia Żelaznego (A. Wagner), wreszcie przeciwstawiany przez „umiarkowanych reformatorów“ lub „społecznych zachowawców“ teoretykom gwałtownego przewrotu (R. Meyer). Zaiste, nic nie masz charakterystyczniejszego nad zespolenie tej krańcowej krytyki ekonomicznej, co dzieło ekonomiczne Rodbertusa cechuje, z ową zachowawczością, która przebija się na każdym kroku w jego broszurach, praktyczne względy na celu mających. „M o n a r c h i s c h, n a t i o n a l, s o c i a l“ — oto hasło naszego ekonomisty, przezeń wypowiedziane i za dewizę przyjęte przez jego zwolenników. Dowodów daleko szukać nie potrzebujemy. „By usunąć wszelkie możliwe nieporozumienie, muszę zauważyć, że jestem zwolennikiem stanowczym naszej obecnej ustawy militarnej, mimo jej całą uciążliwość dla warstwy robotniczej i bez względu na rzekome ofiary finansowe, jakich wymaga się w tym celu od klasy posiadającej“, powiada w wyż wymienionem dziele, albowiem „jedynie taka ustawa wyniosła ojczyznę naszą na szczyt przynależnej potęgi i jedynie ona ją zdoła jej zapewnić“ (str. 34—35).

Zresztą, mimo swój radykalizm ekonomiczny, Rodbertus cieszy się w Niemczech uznaniem j e d y n i e ze strony partji zachowawczych. Że jest gorąco atakowany przez partje radykalne, które w nim widzą wyłącznie obrońcę klas posiadających, lecz przezorniejszego i na więcej ustępstw chętnego niż ktokolwiek inny, wystarcza dla przekonania się o tem przejrzeć choćby tylko miesięcznik *Neue Zeit*. By wyjaśnić takie zachowanie się partji robotniczej względem Rodbertusa, musimy przypomnieć sobie jego hasła, jego praktyczną działalność na polu interesów klasowo-junkierskich, wreszcie jego postulat, że tak klasa posiadająca jako i nie posiadająca, są wzajemnie związane w jeden organizm. „Wszystkie klasy, a więc i wasza, mówi on do

robotników, nie są niezależne, lecz przeciwnie związane ze sobą. Nie powinniście przeto dekretować, lecz jedynie umawiać się i traktować. Możecie tylko ku temu zmierzać, na co społeczeństwo zechce wam pozwolić". Zwłaszcza dobitnie zarysowuje się stanowisko Rodbertusa, jeśli weźmiemy pod uwagę jego zachowanie się względem ruchów politycznych klasy robotniczej. Skierować robotników na drogę walki politycznej — taką była przewodnia ideja agitacji Lasalowskiej; taką też była ideja, co kierowała inicjatorami „Międzynarodówki" i przewodniczy obecnemu ruchowi robotniczemu w Anglji i Niemczech, idea ta znajduje w Rodbertusie stanowczego przeciwnika. Kładąc główny nacisk na to, by robotnicy domagali się wprowadzenia stałej stopy zarobku (iżby zawsze, bez względu na wzrost wytwórczości, pobierali np. $^1/_{10}$ część wartości wytworu), jako środek ku dosięgnięciu tego stawi co następuje: „Przywołajcie na pomoc potęgę opinji publicznej, potęgę społeczeństwa, by przedsiębiorców skłoniła do bezzwłocznego przyjęcia takiej taksy zarobkowej, lecz sami ze swej strony powstrzymajcie się od wszelkiego bezpośredniego, czy też pośredniego przymusu w celu wprowadzenia tejże W ogóle charakterystyczne są jego poglądy na ruchy robotnicze. Obecnej cywilizacji grozi to samo niebezpieczeństwo, jakie dotknęło Rzym ze strony hord barbarzyńskich... Groźne niebezpieczeństwo nas czeka, a mianowicie: „nowe najście barbarzyńców, tym razem jednak z łona samego społeczeństwa pochodzące, zburzy siedzibę cywilizacji i bogactwa" (str. 181).

Jednem słowem, mimo swą krańcową krytykę obecnych stosunków ekonomicznych, Rodbertus jest zachowawcą w ścisłem tego słowa znaczeniu.

Po tem wstępnem omówieniu, przejdźmy do obecnie wydanego dzieła: „Zur Beleuchtung der socialen Frage". Stanowi ono tom trzeci wydawnictwa pozostałych po Rodbertusie rękopismów, prowadzonego dość niedbale przez A. Wagnera i T. Kozaka. Znajdujemy tu drukowany jeszcze w r. 1850: pierwszy list do Kirchmana z nowo dodanym olbrzymim wstępem; dalej idzie artykuł z 1837 jeszcze roku, po raz pierwszy obecnie publikowany, „o żądaniach klasy robotniczej", oraz „posłanie na kongres robotników w Londynie." Kto jednak zna „przyczynek do poznania naszych stosunków ekonomicznych"; i „przyczynek do wyświetlenia kwestji społecznej" (część I.), ten napróżno oglądałby się tu za jakiemkolwiek nowem pojęciem. Kartka z dziejów kryzysów handlowych, ilustracja znanego twierdzenia Rodbertusa, że płaca robocza nie wzrasta równolegle do wzrostu wytwórczości pracy, oto dokoła czego obraca się treść obecnego tomu. Nie wdając się w streszczenie całości, zatrzymamy się nieco nad jednym punktem, a mianowicie nad zestawieniem przez Rodbertusa rezultatów badań Baxtera i Colquhouna co do podziału „dochodu narodowego" w Anglji. Zdaniem Rodbertusa, jednę z najważniejszych przyczyn pauperyzmu obecnego oraz kryzysów handlowych stanowi ta okoliczność, że praca żadnej z wzrostu wytwórczości nie odnosi korzyści. Wskutek konkurencji wśród robotników zarobek nigdy nie przekracza pewnego zakresu: minimum środków spożywczych niezbędnych dla utrzymania rasy robotniczej. Niech A oznacza ilość wytworu, dostarczaną dziennie przez robotnika; a B równające się np. $^1/_{10}$ części tego wytworu — otrzymany przezeń zarobek. W razie, gdyby wytwórczość pracy dwukrotnie wzrosła t. j. gdyby robotnik dziennie dostarczał 2A wytworu, zarobek pozostanie jednakże na dawnym poziomie B, czyli będzie wynosił już tylko $^1/_{20}$ część wytworu. Innemi słowy, w miarę wzrostu wytwórczości pracy — stopa zarobkowa w tym samym obniża się stosunku. Twierdzenie to stanowi kamień węgielny wywodów Rodbertusa. Ponieważ jednak zostało ono wyprowadzone dedukcyjnie, teoretycznie, łatwo

więc pojąć, iż niezmiernie ważną było rzeczą dowieść to samo indukcyjnie, drogą faktyczną. I oto próbę taką znajdujemy w dziele obecnem.

Daty statystyczne Colquhouna tyczą się roku 1812, Baxtera zaś 1868. Możemy więc prześledzić rozwój i podział dochodu narodowego w przeciągu lat blisko 60.

Okazuje się z takiego porównania co następuje:

1) Dochód narodowy podniósł się z 383 do 814 milionów f. st., a więc wzrósł prawie o 112%.

2) Ludność z 17 miljonów doszła do 30, t. j. zwiększyła się blisko o 76%. Innemi słowy, wzrost dochodu narodowego (i wytwórczości pracy) biegnie szybciej niż przyrost ludności, zwłaszcza, jeśli zważymy, że procent 112, wykazujący wzrost dochodu narodowego, jest mniejszy od stopnia zwiększania się wytwórczości pracy, gdyż za okres od r. 1812—1868 znajdujemy zniżkę ceny wszystkich wytworów fabrycznych.

3) klasa robotnicza, wynosząca w 1812 r. jedynie 50% podniosła się w 1868 r. już do 77% całej ludności. Jednocześnie kiedy w 1812 r. pobierała tytułem zarobku 94 mil. z pośród 383 m. dochodu narodowego, a więc 24,6% wówczas w r. 1867 pobiera z 814 m. tylko 324 mil. czyli 40%. Lecz rzeczywisty dochód robotnika — t. j. ta ilość funtów chleba, mięsa i t. d., która stanowi jego utrzymanie, pozostał bez zmiany. Innemi słowy, dochód robotnika stanowi coraz mniejszą część dochodu narodowego.

4) Klasa posiadająca spadła z 40% na 20% ludności. Jest to wynik bankructwa klasy średniej, niemogącej wytrzymać konkurencji z wielkim kapitałem. Rzeczywiście, jeśli klasę posiadającą podzielimy na trzy działy: pobierających więcej nad 1000 f. st. dochodu rocznego; otrzymujących 300—1000 f. st. rocznie i wreszcie pobierających 60—300 f. st. rocznie, ujrzymy, że dział pierwszy w 1812 r. stanowił $^1/_{1000}$% ludności i pobierał 10% dochodu narodowego, wówczas kiedy w 1867 r. stanowi $^1/_2$% ludności i pobiera 25% dochodu, że następnie klasa średnia posiadaczy z 25% ludności spadła do 10%, że wreszcie średnie i niższe klasy posiadaczy pobierały razem w 1812 roku 60% dochodu narodowego, a w 1867 już tylko 30%.

5) Liczba ludzi, otrzymujących zapomogę od państwa przez lat 60 wzrosła dwakroć, z półtora do trzech miljonów, a więc w stosunku do ogółu ludności zwiększyła się z 8% na 10%. Lecz nie dość na tem. Wówczas kiedy w 1812 r. tłum ten „parjasów“ cieszył się jeszcze wolnością i mógł swobodnie poszukiwać zarobku, a przytem otrzymywał od gmin 9 mil. zapomogi, w r. 1867 utracił wolność i przez gminę był zmuszony do tłuczenia kamieni, otrzymując wzamian pensa dziennie i bochenek chleba tygodniowo dla każdego członka rodziny.

„Jednem słowem społeczeństwo zmierza ku krańcowościom. Wciąż wzrasta nędza u dołu! Wciąż gromadzi się bogactwo a zmniejsza się liczba posiadaczy u góry! Klasy — znoszące i łagodzące tę krańcowość, szybko zmniejszają się w liczbie i pod względem rozmiarów dochodu!“ — Rezultatu takiego nie omieszkał Rodbertus zilustrować rysunkami: za czasów Colquhouna społeczeństwo co do dochodu swego przedstawiało jeszcze piramidę; teraz to głowa osadzona na wązkiej i wciąż zwężającej się szyji...

Kronika spółczesna.

Echa galicyjskie.

Luty.

(Kilka słów wstępu. — Zakres i znaczenie rubryki niniejszej. — Hasło zagłady polskości. — Oddziaływanie jego u nas. Rozbudzenie energji i dążnośćdo odporu. Czynniki narodowe: czynne i śpiące. — U nas a w Wielkopolsce. Kółka włościańskie w zaborze pruskim a Kółka rolnicze w Galicji. — Instytucja pańska dla chłopów. — Wady organizacji: centralizm i biurokracja. — Słaby rozwój Kółek. — Zarząd centralny. — Słowa prawdy, wypowiedziane narodowcom ruskim w Galicji przez prof. Dragomanowa. — Prawdziwy program partji ukraińskiej).

Zaprowadzając nowy dział w rubryce, którąśmy objęli ogólną nazwą „Kroniki spółczesnej“, winniśmy czytelnikom kilka słów wyjaśnienia.

Pierwszem i głównem zadaniem „Przeglądu społecznego“ jest rozglądanie się w sprawach bieżących, społeczeństwa naszego dotykających najbliżej, a skutkiem tego najwięcej zasługujących na zanotowanie i rozbiór.

W rubryce niniejszej, o której rozwój i pełność dbać będziemy z osobliwszą troskliwością, zamierzamy notować i rozświetlać objawy życia naszego społecznego co ważniejsze, ograniczając się atoli — z pewnymi, rzecz oczywista, wyjątkami — niemal wyłącznie do spraw tej dzielnicy Polski, której pulsów bicia „Przegląd“, jako jeden z jej organów kontrolujących, podsłuchiwać ma prawo i obowiązek. Zbyteczna może usprawiedliwiać się, ale niemniej zaznaczyć nam z góry wypada, że kronika nasza nie będzie sobie rościć pretensji do zupełnego wyczerpania tego materjału, jaki każdy miesiąc z sobą przyniesie. Rzecz to z jednej strony niepotrzebna — z drugiej nie licująca ani z zakresem, ani z celem pisma miesięcznego.

Co do niniejszej kroniki, z rzędu pierwszej, nadmienić jeszcze musimy, że jedynie względy redakcyjne, natury czysto technicznej, nakazują jej być zwięzłą i niewyczerpującą materjału bieżącego w tej mierze, w jakiej — spodziewamy się — wyczerpywać go będą następne nasze notaty miesięczne.

Nad całym szeregiem innych, mniej lub więcej ważnych i wybitnych zjawisk góruje w chwili obecnej jedna, wielka i smutna, a pierwszorzędnego znaczenia sprawa w naszem życiu narodowem. Mówimy o podjętych przez rząd pruski środkach, mających na celu osłabienie, a właściwie zdławienie i w y t ę p i e n i e p o l s k o ś c i — polskości na ziemiach polskich, głównie w W. k. Poznańskiem i Prusiech Zachodnich. Szląsk zaś, Pomorze i Prusy Wschodnie uważane są za dostatecznie już oślinione do połknięcia przez anakondę krzyżacką...

Sprawa wydalań i projekty antipolskie ks. Bismarka, mające się niebawem zamienić w ustawy, a następnie wejść w życie, odbiły się — jak zresztą nie mogło być inaczej — nader bolesnem echem pośród społeczeństwa polskiego w Galicji. Od dwudziestu lat nie wstrząsnęła podobno żadna sprawa umysłami naszymi i sercami do tego stopnia, jak ta brutalna pobudka, otrąbiona nad Sprewą. Ależbo to na prawdziwą krucjatę się zanosi, na walkę o śmierć albo życie! Drgnąć musiały pod strasznem wrażeniem chwili nawet ślimacze mózgi — poruszyć się najtwardsze serca!

I zaiste, jeżeli w ogóle każde zło ma także pewną dobrą stronę, to o nowem srożeniu się germanizacji pod zaborem pruskim można podobno powiedzieć, że i ono, po zsumowaniu jego wyników, wykaże pewną liczbę nowopowołanych do życia dodatnich objawów, które wprawdzie przewidywanych strat nie wynagrodzą — lecz niewątpliwie ciężar ich osłabią i w stopniu, nie dającym się dzisiaj określić, zrównoważyć zdołają. Zarys tego społecznego działania jest już dzisiaj widoczny, a dojrzeć go można i w naszej prowincji, co z wielkiem zadowoleniem podnosimy. Chwilowe oszołomienie, jakie nas ogarnęło po ogłoszeniu dekretu banicyjnego i sześciu projektów antipolskich ks. Bismarka, ustąpiło wnet miejsca zdrowej refleksji, której rezultatem są niesformułowane jeszcze wyraźniej i w wielu wypadkach kłócące się z sobą, ale bądź co bądź o energji naszej żywotnej świadczące plany przeciwdziałania To, co dotąd zaprojektowano, a po części już i w czyn wprowadzono, i co się jeszcze projektuje, jest niewątpliwie odpowiedzią nader słabą na straszne zagadnienie bytu, rzucone nam z Berlina. Godzi się przecież przypuszczać, że ta niesforna dotychczas i niewiążąca się w jedną zgodną całość akcja odporna da się zorganizować w harmonijny, jednolity plan obrony narodowej, w który wciągnięte zostaną wszystkie — luzem dotychczas chodzące albo wręcz usuwane z widowni działania — czynniki społeczne.

Mamyż wskazywać wyraźniej na nasz lud wiejski i miejski, na drzemiące w tych pokładach społecznych siły ukryte, których wyzwolenie i należyte spożytkowanie jest jedyną rękojmią szczęśliwszej przyszłości...

Żywioły te nie od dzisiaj wprawdzie tworzą składową część polskich szyków bojowych pod zaborem pruskim; praca nad uświadomieniem, uspołecznieniem i uobywateleniem włościan, podjętą tam została bardzo dawno, wówczas jeszcze gdy unas zaledwie świtało w głowach, że oświata powinna być udziałem wszystkich bez wyjątku warstw narodu, ale i tam także, jak na całej zresztą powierzchni ziem polskich, osiągnięte rezultaty stanowią zaledwie drobną cząstkę tego co zrobić należy...

Niedawno odbyty zjazd delegatów galicyjskich „Kółek rolniczych“ we Lwowie, skłania nas do pociągnięcia paraleli pomiędzy niemi, a podobną instytucją w Wielkopolsce, Prusiech Zachodnich, a zwłaszcza na Szlązku, gdzie Kółka włościańskie istnieją już od dawnych lat i tworzą jedną z najważniejszych dźwigni życia narodowego. Na wzór poznańskich i zachodnio-pruskich poczęto i u nas zakładać przed paru laty te, z inicjatywy polskiej jedyne w kraju naszym stowarzyszenia chłopskie; dotąd jednak prezentują się one bardzo słabo i sprawiają widok rośliny wątłej, korzeni swych nie mogącej zapuścić w głąb, a tylko rozprzestrzeniającej je wszerz po płytkiej powierzchni zanadto skalistego gruntu.

Winaż to istotnie gruntu tego, ziarna, które weń rzucono, czy też... siewaczy?

Powiedzmy sobie otwarcie, że — tych ostatnich. Cokolwiekbądź da się na usprawiedliwienie faktu tego powiedzieć, faktem w każdym razie jest, że nasze „Kółka rolnicze“ są instytucją dla chłopów, ale instytucją... pańską. Kółka włościańskie pod zaborem pruskim oparły się odrazu na podstawie demokratycznej — wyszły z ludu. Inicjatorem i jednym z najgorliwszych w sprawach ich działaczem był zacny Juljan Kraziewicz, rolnik-małomieszczanin zachodniopruski, który pierwsze kółko chłopskie założył w roku 1862 w Tymawie. Zu-

pełnie wedle zasad tego pierwszego zawiązały się i inne Kółka w Prusiech Zachodnich, zachowując i pielęgnując dalej swą organizację demokratyczną.

Podobnie i w W. ks. Poznańskiem nie szlachta i inteligencja, nie „starsi bracia“, ale sam lud dał inicjatywę do zakładania Kółek. Fundatorem tych stowarzyszeń był chłop, Djonizy Stasiak z Księginek pod Dolskiem, który przy pomocy drugiego włościanina, Antoniego Banaszczyka, i proboszcza, ks. Wiśniewskiego, założył w r. 1866 pierwsze w Wielkopolsce chłopskie kółko polskie.

Co się tyczy Szlązka wreszcie, to i tam inicjatywa wyszła od człowieka wykształconego wprawdzie, ale co do zajęcia na równi z sąsiadami-chłopami, stojącego rolnika drobnego, Władysława Reymanna. Ponieważ założycielem był Niemiec, a ludność Szlązka jest pod względem narodowościowym mieszaną — Kółka szlązkie nie przybrały wcale barwy i tendencji wyznaniowej albo narodowej, jak w Wielkopolsce i Prusiech Zachodnich. Należą do nich zarówno katolicy, jak i protestanci, a wszelkie pisma ogłaszane bywają w obydwu językach (polskim i niemieckim). Na pochwałę szczególniejszą Kółek szlązkich, które od końca r. 1881 tworzą jeden ogólny Szlązki Związek włościański, podnieść należy, że podstawy, na których zbudowane zostały i rozwijają się dalej nader pięknie, są prawdziwie demokratyczne i praktycznym interesom włościan najwięcej odpowiadające.

U nas poszły rzeczy torem zgoła odmiennym. Inicjatywa do zakładania Kółek nie wyszła od ludu, jak pod zaborem pruskim, nie wyłoniła się z dołu, ale — z góry. Nie jest to oczywiście winą inicjatorów. Winą jest ich tylko, że mimowiednie, czy też z samolubną świadomością nie zakreślili stworzonej przez siebie instytucji tych szerokich podstaw demokratycznych, jakich wzór naśladowania godny znaleść mogli pod zaborem pruskim, w sąsiednim Szlązku, gdzie dzięki tym to właśnie zasadom — Związek chłopski rozrósł się i stanowi dziś niemałą potęgę materjalną i moralną. Na tych samych podstawach oparte, Kółka rolnicze w naszym kraju rozwinęłyby się znacznie raźniej, budząc większą sympatję i zaufanie pośród — z natury i dzięki tradycji — nieufnych włościan. Temu zaprzeczyć się nieda gołemi słowy, a kto zna lud i prawdę chce powiedzieć — przyzna nam rację.

Błąd popełniono w samym zarodku, przy zawiązaniu Towarzystwa Kółek rolniczych, a nietylko nie usunięto go z biegiem czasu, ale owszem ugruntowano go jeszcze bardziej.

Stworzono organizację nawskróś centralistyczną i biurokratyczną, przyczem złożono władzę naczelną w ręce t. z. „panów z miasta“ — głos zaś decydujący w sprawach dla włościaa najżywotniejszych oddano członkom wspierającym i założycielom, a więc każdemu pierwszemu-lepszemu z brzegu, kto może zapłacić kilka guldenów rocznej wkładki. Natomiast najwięcej interesowani — właściwi członkowie Kółek — włościanie usunięci zostali niemal zupełnie od możności decydowania w sprawach, ich tylko obchodzących i im przedewszystkiem najlepiej znanych.

Tak tedy — zamiast stanowienie o samych sobie pozostawić chłopom, a inteligencji, jako „starszej braci“, oddać głos doradczy — uczyniono na opak i stworzono dziwną anomalję, nieposiadającą najmniejszego uzasadnienia. Należy nam jeszcze nadmienić, że system ten w ciągu kilku lat istnienia Towarzystwa Kółek rolniczych nie tylko się utrwalił, ale wzrósł i rozwinął się i — jeżeli tak dalej pójdzie — czekać nam już tylko wypadnie, rychło reszta praw odjętą

zostanie poszczególnym Kółkom, a cała władza Walnego Zgromadzenie przesunie się w ręce Zarządu centralnego.

Robiły się już w tym kierunku rozmaite jawne i tajne usiłowania... Materjału najwięcej pod tym względem charakterystycznego dostarcza nam broszurka p. Kazimierza Langiego p- t. „Projekt zmiany statutu Towarzystwa Kółek rolniczych, przedłożony komisji obradującej we Lwowie w. r. 1884.“ Jest to roślinka, która wyróść mogła chyba tylko na gruncie naszej galicyjskiej reakcji! W projekcie p. Langiego Walne Zgromadzenie schodzi w rezultacie do roli komisji kontrolującej — wszelka władza natomiast przelaną zostaje na Zarząd centralny. Ten zaś ostatni nie jest wcale wybierany, ale — mianowany. Wydział krajowy — wedle propozycji p. Langiego — mianuje 3 członków, Krajowa Rada szkolna 3, łaciński konsystorz arcybiskupi we Lwowie 3, ruski 3, Komitet Towarzystwa gospodarskiego we Lwowie 3 i Komitet Towarzystwa rolniczego w Krakowie 3.

Ostatecznie statut, obecnie obowiązujący, nie jest znacznie lepszy od tego, który proponował p. Langie, ale zawsze — lepszy. Wedle nowego statutu z d. 2 lipca 1885 r. Zarząd główny we Lwowie składa się z ośmastu członków, wybieranych absolutną większością głosów przez Walne Zgromadzenie. Gdy atoli w statucie p. Langiego każdy członek Kółek uprawniony jest do zasiadania, radzenia i głosowania na Walnem Zgromadzeniu — statut obowiązujący nadaje to prawo jedynie protektorom, założycielom i członkom wspierającym Towarzystwa, tudzież delegatom Zarządów powiatowych i zastępcom Kółek rolniczych wybranym przez delegatów Kółek rolniczych, w powiecie istniejących, w ten sposób, że każde pięć Kółek wybiera jednego zaledwie reprezentanta!

Nie zdołała też dotąd instytucja Kółek rolniczych ani zyskać tego zaufania u włościan naszych, z jakiem garnęliby się ku niej niewątpliwie, gdyby nie widzieli w niej samej tylko „pańskiej roboty“, a większe uwzględnienie żywiołu chłopskiego — ani też rozwinąć się w tej mierze, jakiej oczekiwano powszechnie i całkiem słusznie. Wielu nawet powiada: „Kółka istnieją tylko na papierze“... Zarzut to bezpodstawny, bo wiemy o Kółkach, rozwijających się nader pięknie — uzasadnia go atoli w pewnym stopniu ta okoliczność, że istotnie jest bardzo wiele Kółek, które są wprawdzie zapisane, ale nie funkcjonują zgoła. Liczba ich jest nawet znacznie większą, niż to się Zarządowi centralnemu w dorocznem sprawozdaniu wydaje...

Uwagami naszemi nie myślimy wcale dotykać obecnego zarządu Kółek, złożonego z ludzi, z których niejeden, co prawda, orjentuje się w zakresie spraw włościańskich z trudnością, nieco większą, niż np. Rogoziński w okolicach Kamerunu — z których jednak żadnemu nie możemy zarzucić braku dobrej woli i chęci do sprawowania przyjętych na się obowiązków.

A i to wiele znaczy, zwłaszcza w naszych stosunkach!...

Gdy już o takich rzeczach mowa, mielibyśmy wielką ochotę przeprowadzić porównanie pomiędzy robotą inteligencji polskiej a ruskiej nad moralnem i materjalnem podniesieniem ludu wiejskiego. Nastręczy się nam atoli sposobność po temu i kiedyś indziej, dziś zaś wypada koniecznie bodaj zanotować pojawienie się listu znanego patrjoty ruskiego, profesora Dragomanowa z Genewy. Pismo to, wysłane pod adresem Rusinów halickich z okazji zbliżającej się 25-tej rocznicy śmierci największego poety ruskiego, Tarasa Szewczenki, zamieścił w swych łamach polski „Kurjer Lwowski“.

Prof. Dragomanow czyni ukrainofilom czyli narodowcom halicko-ruskim wyrzut, że od pewnego czasu głosić poczęli hasła, bardzo mało mające wspólnego z ideami Szewczenki i jego ukraińskich zwolenników, ostatniemi zaś czasy zidentyfikowali politykę swą z tendencjami unickiego ultramontanizmu, zrywając przez to ostatnią nić, mogącą ich wiązać z Szewczenką. Polityka bowiem ukraińców głosi następujące trzy zasady:

1) federalizm w sprawach narodowo politycznych:
2) demokratyzm w sprawach społecznych;
3) racjonalizm w sprawach kultury.

Prof. Dragomanow wskazuje dowody na to, że manifestacje Rusinów galicyjskich, przeciwne wyżwyrażonym zasadom, wywołały niezadowolenie na Ukrainie, a tylko stosunki polityczne nie pozwalają Ukraińcom podnieść publicznego protestu. Czyni to w ich imieniu p. Dragomanow.

„Jeżeli nawet — powiada — pominiemy teoretyczną krytykę teraźniejszych społeczno-kulturnych partji w Europie, a spojrzymy jedynie na rzeczywisty stan narodu ruskiego, to przekonamy się, że interesom tegoż narodu o wiele więcej odpowiadają zasady patji radykalno-postępowych, niż konserwatywnych. Najmniej zaś odpowiadają stanowi interesów narodu ruskiego idee i cele partji ultramontańskiej. Wystarczy wskazać na okoliczność, że między Rusinami są prawosławni, unici, katolicy, protestanci (sztundyści) żydzi i racjonaliści. Już to jedno zniewala Rusinów do zupełnego oddzielenia swej polityki narodowej od jakiejkolwiekbądź religji, do zupełnej laicyzacji polityki, do poglądu na religję, co najwyżej, jako na „res privata“.

P. Dragomanow wyraża w końcu nadzieję, że do protestu powyższego przyłączy się także wielu Rusinów halickich, uważając manifestację podobną za dobry początek do założenia niezawisłej, postępowej partji ruskiej, mającej na oku wyłącznie interesy narodu ruskiego, i to całego narodu, tak w Austro-Węgrzech, jak i w Rosji, a za podstawę idee współczesnej cywilizacji europejskiej.

Z prawdziwą ciekawością czekaliśmy, co powie „Diło“, jako organ „także ukrainofilów“ galicyjskich, na uwagi p. Dragomanowa. Organ kleryk alów greckiego obrządku zbywa atoli cały list, któremu pismo polskie użyczyło w pełni miejsca, krótką wzmianką kronikarską, a pomijając milczeniem dwa pierwsze punkta programu ukraińskiego — federalizm i demokratyzm — przyczepia się jedynie do trzeciego: racjonalizmu, po za którym nie kryje się zresztą nic innego, jak tylko najszerzej pojęta i stosowana telerancja religijna. Czyżby „Diło“ i jego redaktorzy...

Et! Naj wam bude!... *Rewera.*

Kronika niemiecka.

Programy warstw średnich.

Wśród warstwy rzemieślniczej w Niemczech od lat wielu spostrzegamy pewne drgania konwulsyjne, które przybierać poczynają kształty wyrazistsze.

Przedewszystkiem wśród tego ruchu zaznaczyć wypada dwa prądy różne, genezy których należałoby szukać aż w brzemiennych wypadkami chwilach 1848—1850 r.

Jeden prąd, nader słaby i wyjątkowy, zupełnie opuścił stanowisko sprawy rzemieślniczej jako takiej, uważając ją za przegraną stanowczo. Oceniając wielki przemysł z należytego punktu widzenia co do jego skutków, zwątpił, by rzemiosło miało szanse choćby najmniejsze ocaleć w obec konkurencji ze strony maszyny — z tego też powodu swą sprawę utożsamił z interesami warstwy robotniczej, a wszelkie żądania ze strony rzemiosła by państwo pośpieszyło mu z pomocą przez wprowadzenie cechów przymusowych, przez spętanie fabrycznego przemysłu — uważa za bezużyteczne, a nawet szkodliwe.

Wręcz przeciwne stanowisko zajął odłam drugi, wierny historycznym hasłom rzemiosła. Chce on utrzymać grunt wymykający się z pod nóg za wszelką cenę, a ideały swe czerpie nie z stosunków wytwórczych przyszłości, lecz z warunków średniowiecznej przeszłości. Pierwsze jego masowe i przytem świadome występy znajdują się w związku bezpośrednim z działalnością biskupa v. Kettelera. W skutek tej to działalności wytworzył się pierwszy spójny a zwarty zawiązek „partji rzemieślniczej“, do którego przymknęły rozwijające się związki chłopskie (Bauernvereiny) tak, że już na zjeździe w Essenie występują reprezentanci 15,000 dworów chłopskich i 100,000 majstrów (1870). Wreszcie ruch ten zdobył sobie szeroką podstawę teoretyczną w dziełach ks. Franciszka Hitzego. *) Nazwisko to wprawdzie dopiero od lat kilku wypłynęło na widownię polityczną, lecz już cieszy się głośną sławą. Zwłaszcza wiele się tu przyczyniły występy tego szermierza sprawy warstw średnich w tegorocznym i zeszłorocznym parlamencie niemieckim przy obradach nad kwestjami rzemieślniczemi i robotniczemi. I u nas nazwisko to nie jest nowe, choćby dlatego że „Orędownik“ poznański często je wspomina. Zatrzymamy się też nieco dłużej nad tą osobistością.

I.

Programat warstw średnich, jak skreślił go Hitze, bynajmniej nie stanowi zlepku z kilku luźnych żądań, lecz przedstawia się jako zupełnie wykończony całokształt krytyki obecnych stosunków nietylko ze stanowiska warstw średnich, lecz z punktu widzenia ideałów ogólno zachowawczych. Pojęcie kwestji społecznej, powiada teoretyk nasz, jest rzecz nader oderwana. Wiele się o niej mówi, lecz mało się ją uprzytomnia i każdy rozumie też pod nią coś odmiennego. Jeden utożsamia ją li tylko z kwestją robotniczą i takie jest zwykłe jej tłómaczenie. Inni znów pod nią pojmują jedynie kwestję rzemieślniczą, i t. d. Lecz tłómaczenie takie zgoła nie jest zadowalniające, bo nawet jeślibym złożył te wszystkie poszczególne kwestje, nie otrzymałbym jeszcze rzeczywistej kwestji społecznej. **) Jednem słowem kwestję rzemieślniczą i w ogóle kwestję warstw średnich można dopiero wtedy należycie zdefinjować, kiedy uchwycimy rdzeń kwestji społecznej, badając całokształt obecnych warunków produkcji.

Za główny i bodaj czy nie za jedyny czynnik, który wywołał groźne klęski społeczne teraźniejszości, należy uważać maszynę. „Rozprzęgła całe spo-

*) Oto dzieła te: „Die sociale Frage 1877“, „Quintessenz der socialen Frage 1880“, „Schutz dem Handwerk 1883“ i wreszcie najważniejsze dzieło Hitze'go. „Kapital u. Arbeit und die Reorganisation der Gesellschaft“.

**) Hitze: die Quintessenz etc. str. 5.

łeczeństwo, skruszyła dawne więzy — zbyt ciasnemi bowiem były — ręczną a samodzielną pracę przy własnym warsztacie zastąpiła zrzeszoną pracą przy maszynie, a warsztat przeinaczyła na fabrykę. Potęgę taką przewrotową zawdzięcza ona swej większej zdolności wytwórczej, znamionującej niezmierny i nieskończony postęp techniki. W tych gałęziach przemysłu, w których znalazła zastosowanie, zdolną jest dostarczyć nader wiele w porównaniu z najsilniejszą pracą ręczną. Za ilustrację mogą służyć choćby powstające obecnie w Stanach Zjednoczonych fabryki szewskie. Pracuje w nich 50—60 robotników; przeprowadzono tu ścisły i drobiazgowy podział pracy i do wykonania uproszczonych, dzięki temu robót poszczególnych, zastosowano maszyny. W ten sposób jeden robotnik zdolen jest dostarczyć dziennie aż dziesięć par butów! A wszelakoż to tylko pierwszy dopiero na tym polu debiut maszyny, zgoła nie wytrzymujący porównania z jej skutecznością wśród przemysłu tkackiego i innych.

Atoli maszyna może istnieć jedynie przy masowej produkcji, co nieuchronnie pociąga za sobą stworzenie olbrzymiego rynku, a nadto niezmiernej sieci dróg komunikacyjnych. W ten sposób maszyna coraz szersze ogarnia kręgi: rynek miejscowy, nie wystarczający na jej potrzeby, przeinacza się w powszechny, a handel wewnętrzny w wszechświatowy. Pękają ograniczenia prawne dawnych czasów: naprzód zstępują do grobu różne przegrody między okolicami tego samego kraju, a następnie między oddzielnemi państwami. Jest to pierwsza jej działalność niwelacyjna.

Z drugiej strony, maszyna coraz większych wymaga kapitałów, a nadto zupełnej swobody poruszeń ze strony swego posiadacza. Unicestwia więc dawne organizacje cechowe i reglementację produkcji oraz ograniczenia paszportowe i policyjne, by mieć na swe rozporządzenie całe masy rąk, znosi prawa przeciw lichwie i inne pęta dla swobody kapitału, mobilizuje posiadłość gruntową; przedewszystkiem zaś przenosi punkt ciężkości społecznej z nieruchomej posiadłości ziemskiej na kapitał ruchomy, arystokrację rodową zastępuje plutokracją, a na miejsce „honoru“, stawia „oświatę“. Niweluje wszędzie i dawną równowagę stateczną zastępuje niestateczną. Nie dość na tem — pod wpływem wolnej konkurencji wytwarza anarchję rynku z kryzysami, i walkę oddzielnych przedsiębiorców, w której zwycięża taniej sprzedający. Ztąd wynika ciągła ruina drobniejszych kapitalistów, gdyż im na większą skalę prowadzone jest przedsiębiorstwo, tem więcej posiada prawdopodobieństwa wyjścia zwycięsko z walki. Równolegle wzrasta też i niemożebność prowadzenia na własną rękę warsztatu.

Rzemiosło bowiem w żaden sposób nie może utrzymać się w obec fabryki. Ta posługując się niefachową pracą, już wskutek tego samego taniej może wytwarzać; do tego trzeba jeszcze dodać korzyści, pochodzące zześrodkowania licznych a karnych rąk; następnie z taniego, bo masowego zakupna surowych materjałów i łatwiejszego zbycia towaru.

Rzemiosło znajduje obecnie przytułek, jedynie w kunsztach, wymagających pewnego artystycznego smaku, jak np. w złotnictwie. Lecz główny rdzeń historycznej warstwy rzemieślniczej i to w swej przedniej części ginie, pozostawiając na polu walki coraz szczuplejszą garstkę coraz większych kapitalistów, oraz pozbawionych własności robotników. Praca i kapitał odłączają się od siebie, stają na przeciwległych biegunach. Powstaje z dniem każdym coraz szersza luka społeczna i ginie cement, spajający społeczeństwo w jedną nierozerwalną całość. Z piramidy społecznej pozostaje li tylko wierzchołek i podstawa, które muszą z czasem runąć, jeżeli złemu się nie zaradzi. Kwestja społeczna polega

na ocaleniu społeczeństwa od zagłady, na zniweczeniu fatalnych a zatrzymaniu dodatnich wpływów maszyny. „Kwestja ta zasadza się na znalezieniu ustroju społecznego, któryby w tenże sposób odpowiadał nowożytnym stosunkom produkcyjnym, jak to czynił swego czasu ustrój średniowieczny względem istniejących wtedy na wsi i w mieście prostych stosunków. *) Należy więc ukształtować pożycie społeczne tak, by usunęło kryzysy i anarchję rynku, wypełnić społeczną wzrastającą z chwilą każdą przepaść, pogodzić kapitał z pracą i zgnieść podnoszącą się w skutek tego rewolucyjno — niwelacyjnę hydrę.

Wystarcza choćby pobieżny tylko rzut oka, by zrozumieć jakim przewrotem grozi dalszy rozwój fabryki (t. j. maszyny). W rzemiośle przeważał czynnik osobisty: indywidualizm, zręczność i pilność, wówczas gdy przy maszynie praca jest nawskróś mechaniczną, a człowiek obsługuje jedynie maszynę. Rzemieślnik wyrabia całą sztukę, łącząc pracę fizyczną z umysłową, co daje możność kształcenia estetycznego smaku; nic podobnego nie spotykamy na fabrykach. Robotnik spędza tam całe lata nad jedną i tą samą cząstkową robotą, jest automatem fizycznym, działającym wedle z góry nakreślonego szablonu. Rzemiosło grupuje ludzi dokoła domowego ogniska i nie wywołuje zatargów między pracą a kapitałem, gdyż jednocząc je w tem samem ręku, wreszcie utrzymując wartość indywidualną pracy, wzmacnia hierarchję i autorytety społeczne (państwo, religję) i zradza ku nim poważanie i szacunek. Nic a nic zgoła podobnego nie spostrzegamy w fabryce. Stawiając kobietę i dziecko obok ojca zrywa ona wszelki szacunek ku zwierzchności ojcowskiej i mężowskiej i w samym rdzeniu podkopuje życie rodzinne; odłączając kapitał od pracy, kopie przepaść społeczną, wyradza nędzę i dążność ku przewrotowi wśród klasy nieposiadającej i pozbawionej tej nadziei na przyszłość, jaką cieszy się czeladnik, oraz budzi nieposzanowanie dla własności; wreszcie miasto indywidualnego czynnika wprowadzając szablonowe stosunki płacy, unicestwia hierarchję majstra, czeladnika i ucznia, niweluje je i sieje pogardę ku wszelkiej powadze państwowej i religijnej. Wszystko w produkcji maszynowej dąży ku wywołaniu coraz większej nierównowagi społecznej. Maszyna wszędzie działa centralizująco — w tem powiedzeniu zawiera się wszystko. Centralizuje i niweluje. Wyrywa człowieka z pośród odwiecznych i ustalonych stosunków, z całą jego istnością rzuca go w odmęt olbrzymiego ruchu, by pchnąć go ku górze, lub zatopić na dnie nędzy, przyczem więcej tu przyszłość zależy od szczęścia i trafu niż od wolnego wyboru czynów. Maszynaześrodkowuje produkcję, własność i pracę. „Fabryka“, „wielkie miasto“ — oto dotychczasowe etapy ruchu tego. W dalszym ciągu nastąpi centralizacja międzynarodowa. Samodzielność i wyłączność warsztatu i gospodarstwa chłopskiego, autonomja wśród gminy, powiatu oraz prowincji są pochłaniane coraz silniej przez fabrykę, wielkie posiadłości, miasta i państwo... Lecz centralizacja innemi słowy oznacza wyrównywanie, niwelację i obie partje, oparte na nowożytnem sposobie produkcji chcą tego. Liberalizm w swym zadaniu postawił sobie zrównanie praw: chce on nieodróżniających się od siebie „obywateli“; socjalizm znów dąży do niwelacji władzy, własności — wszyscy mają być bez różnicy najmitami na koszcie państwa, robotnikami. **) Niwelacja wszystkich i wszystko ogarnia. Wówczas gdy rzemiosło opiera się na nieruchomej własności, maszyna wywołuje jej ruchliwość. „Określone stosunki wła-

*) Hitze. Quintessenz ect. str. 8.
**) Hitze, Quintessenz str. 18.

sności tworzą niezłomne zwyczaje i mocno wyrzeźbione typy, ruchliwa zaś i zmienna własność burząco i depcząco wpływaj na charakter i obyczaje. *) W ten sposób: fabryka wszystko porywa w prokustowe łoże szablonu, wszelkie indywidualne i klasowe życie niszczy, przechodząc bezpośrednio w falanster. Cały świat zmieniony w jedną olbrzymich rozmiarów fabrykę — oto perspektywa na przyszłość, jeśli liberalizm poprowadzi dalej swą pracę niwelacyjną. **) Widzimy więc, że upadek warstw średnich rozpatrywać należy nie tylko z technicznego stanowiska, lecz i ze względu na ich społeczne znaczenie, na skuteczność z jaką rzemiosła i własność chłopska przeciwstawią się wszelkim niwelacyjnym dążnościom i znoszą walkę o podział, którą nazwano walką pracy z kapitałem. Jednem słowem „kwestja rzemieślnicza nie jest wcale sprawą techniczną, lecz społeczną, nie sprawą sposobu produkcji lecz podziału wytworu, nie tyle materjalną ile raczej kwestją, jakim sposobem zapełnić tę lukę, która powstała wskutek zanikania warstw średnich wśród gospodarstwa narodowego". ***)

II.

Poglądy Hitzego rozwija w dalszym ciągu Albertus w broszurze: „O rozpaczliwym stanie rzemiosł". ****) „Włościanie i rzemieślnicy to opoka równowagi społecznej, to podpora zachowawczości i jeśli ludzie przewrotu idą na czele hufców najmickich, zachowawcy powinni sformować swą armję z pośród warstw średnich, jednoczących pracę z kapitałem". Lecz wróćmy do Hitzego. Kwestja rzemieślnicza stanowi dlań jedynie cząstkę kwestji społecznej. Organizacja społeczna oparta na cechach przestarzała się i zaniknęła, nic natomiast nie pozostawiając. Ztąd wypływa dzisiejsze rozsprzężenie i anarchja. Należy zaradzić temu, zachowując zarazem wszystkie dodatnie strony maszyny, a środki zaradcze muszą iść w kierunku postępu i zachowania zarazem. Rozwój zespolić wypada z porządkiem. Nie godzi się przeciw prądowi wiosłować, trzeba natomiast bieg jego uregulować". *****) Lecz gdzież szukać ratunku?

Oto należy zwrócić się o pomoc do trzech potęg, jakiemi są kościół, asocjacja i państwo, wszystkie one bowiem są wcieleniem porządku społecznego. Trzeba pamiętać, że rozwiązanie kwestji społecznej „zasadza się nie na wolności lecz skrępowaniu, spętaniu sił społecznych". Wolność posiada li tylko przejściowe znaczenie dziejowe: zerwać winna była dawne pęta cechowo-feudalne, by grunt przygotować pod posiew nowych lubo na wzór przeszłości zbudowanych organizacji wytwórczych. Owa starodawna średniowieczna ustawa pozostanie raz na zawsze wzorem najdoskonalszym do naśladowania. Weźmy choćby duch ów, co cechy ożywiał. Prawo do pracy należało nie do jednostki lecz do cechu i udzielane było tym tylko, którzy się wykazać zdołali z wymaganego przez ustawę cechową wykształcenia i konstytucją cechów związali. Każdy warsztat był lennością cechu. Do cechu też należał surowy materjał zakupywany zazwyczaj hurtownie, a każdy członek cechu winien był w razie potrzeby odstępywać go po cenie kupna współcechowemu. Również sprzedawały się wykończone już wytwory we wspólnym całemu cechowi magazynie, co uniemożliwiało wszel-

---

*) Hitze. Die Sociale Frage str. 172.
**) Hitze: Schutz dem Handwerk str. 32.
***) Schutz dem Handwerk str. 77.
****) „Die Nothlage des Handwerkes" 1884. Padeborn.
*****) Kapital u. Arbeit str. 481.

kie fałszerstwa, sprzedawanie po cenie wygórowanej i inne t. p. spekulacje. Na wszystkich członkach ciężyło baczne oko cechu: nieuczciwym majstrom odbierano prawo przyjmowania i kształcenia uczniów i czeladników, zabezpieczano ich od samowoli pryncypałów, ostatnich zaś od dowolnych postępków ze strony tamtych. Cech ręczył nie tylko za dobre wykształcenie fachowe młodzieży, lecz chronił ją od zarazy moralnej, członków swych wiązał życiem wspólnem, posiadał własny kościół lub kaplicę, wzniesione z cechowej skarbony, własnego patrona i kapelana, własne proporce, chorągwie i obrazy, wreszcie procesje i święta; solidarnie jako stan, szedł na miejskie wybory, do walki politycznej lub boju. Solidarnie broniono czci cechu, solidarnie też znoszono niedolę: ujmowanie się za uciśnionym towarzyszem było obowiązkiem względem cechu i religji. Obowiązkiem również było ze strony całego cechu grzebanie zmarłego współtowarzysza, a kasy dla biednych i inwalidów były wyrazem materjalnej pomocy, nieustającej i po śmierci, gdyż cech opiekował się dziećmi i żoną zmarłego, wyznaczając jednego z energiczniejszych czeladników do prowadzenia interesu.

Lecz ramki organizacji cechowej okazały się zbyt szczupłemi wobec wzrostu wytwórczości, w automatycznych maszynach upostaciowanej. Lubo pozostały jeszcze po niej szczątki, lubo można je jeszcze zorganizować, ulotnił się duch co ją ożywiał. Zamiast dawnej solidarności mamy pulweryzacją społeczną, a miasto dawnego porządku nastała wolność. Poczucie religijne i patryotyczne ta opoka, na której wznosiło się feudalno cechowe rusztowanie — rozprzęgły się w skutek niwelacyjnego oddziaływania maszyny. Różne ukształtowania własności zginęły bez śladu pod wpływem kapitału, niszczącego stałość i plastyczną rozmaitość typów i charakterów.

Po wielu latach niwelacji spostrzeżono w końcu fatalne jej skutki: anarchję rynku, brak spójni wśród ludzi i nędzę. Wielu zaczyna uznawać potrzebę zorganizowania społeczeństwa odpowiednio do wymagań produkcji, oczywiście z zupełnem zachowaniem dostarczanych przez maszynę korzyści, a taka reorganizacja, jeśli ma być trwałą, musi być przeprowadzoną na wzór cechów. Lecz pierwszym ku temu krokiem musi i powinno być przywrócenie ducha, który rządził cechem i poważania powag wszelkiego rodzaju; — reorganizację tę przystoi rozpocząć kościołowi, gdyż on tylko potrafi spętać rozszalałe namiętności, ukrócić samowolę tłumów, zgromadzić je: poprowadzić ku lepszej przyszłości, która ma się oprzeć na stanach i organizacji państwa w imię interesów stanowych. Polityczna organizacja stanów poprowadzi ku ekonomicznej, ku unormowaniu produkcji, spożycia, podziału, ukształtuje odpowiednio życie duchowo-obyczajowe, wychowanie, zabawy". Wymaganiom porządku znowu stanie się zadość i człowiek znów zostanie pętami społecznemi związany.

Celem każdej zdrowej polityki, powinien być możliwie wszechstronny rozwój i ukształcenie zbiorowej osobistości narodu: warunkiem zaś tego jest wytworzenie, względnie zachowanie możliwie rozmaitych form własności. Na takiej to podwalinie, utkanej z różnorodności, wznosił się ów najmisterniejszy gmach religijno-społeczny, jaki kiedykolwiek oko ludzkie widziało, ów porządek tak trwały, tak potężny wieków średnich, w którym wszystkie stany są nieodzowną koniecznością.

Myśl o powrocie do urządzeń stanowych nie jest nowa. Już w 1875 rozwijał ją Plank, *) następnie w specjalnej broszurze traktował o niej Ryszard

*) p. „Zeitschrift für allg. Staatwissenschaft" w 1875.

v. Kaufmann. *) Zwłaszcza pierwszy gorąco ją zaleca. Zdaniem jego cały gmach społeczny powinien stanąć na idei fachowości („Idee des Berufes“). Towarzysze z zawodu, np. krawcy, szewcy, rolnicy i t. d. winni się zespolić stowarzyszeniami wśród gminy, prowincji i państwa, na kształt średniowiecznych cechów, z tą atoli różnicą, że takie związki muszą objąć całe państwo i pozbyć się ducha kastowości, którego zresztą nie znały w chwilach swego rozkwitu cechy wieków ubiegłych. Sobkowstwo oddzielnego związku fachowego paraliżowałoby się wtedy współudziałem innych związków we wspólnem przedstawicielstwie prowincjonalnem lub państwowem. Związki takie mogłyby z czasem stanąć na międzynarodowym gruncie i ludzkość przedstawiałaby jednę organizację fachowych związków, obejmującą świat cały. Ideę Planka przyjmuje ks. Hitze, lubo głębiej ją rozwija. Maszyny niepodobna zgładzić już ze świata, trzeba się z nią więc rachować. Stosownie do tego związki przyszłości nosić muszą więcej mechaniczny, sztuczny niż naturalny charakter. Wówczas gdy cechy opierały się bardziej na zwyczajowem niż pisanem prawie, związki teraźniejszości muszą się oprzeć na ekonomicznej podstawie, stać się zcentralizowanemi i lokalnemi. Organicznej, bezpośredniej reoganizacji społeczeństwa na wzór średniowiecznej nie ma się czego spodziewać — trzeba się zwrócić ku państwu, **) by ją poprowadziło z góry przez wytworzenie stanowego przedstawicielstwa, szlachty, duchowieństwa, przemysłowców i handlarzy, chłopstwa i robotników. W jaki sposób ma być zorganizowane takie przedstawicielstwo, stanowi to rzecz mniejszej wagi; najważniejsze by było przedstawicielstwem różnych interesów społecznych. „Wyrwanie klasy robotniczej z objęć partji politycznych i wepchnięcie jej na arenę żądań polityczno-stanowych powinno być pierwszym zadaniem“. ***) Zresztą pierwsze lody zostały już przełamane, a zaczątki organizacji stanowych na każdym widzimy kroku. Wśród robotników są to izby syndykalne, „Gewerkvereiny“ i t. d.; wśród chłopów związki i koła chłopskie, wreszcie w sferze handlu izby handlowe i „Centralny związek przemysłowców“. Cała rzecz na tem polega by tym odruchowym próbom nadać świadomość, by jedną spójnią je związać i zewsząd rugować „anarchję“, by wreszcie powstrzymać postępującą niwelację społeczną.

III.

W tej pracy reorganizacyjnej, najważniejszemi pośród warstw społecznych są te, które łączą w jednem ręku kapitał i pracę, stanowią bowiem oś przyszłej krystalizacji społecznej. Są to włościanie i rzemieślnicy. „Tylko na szerokiej podstawie z klasy średniej może bezpiecznie spoczywać państwo; wszędzie gdzie ginie ta warstwa, państwo poczyna na niepewnym stać gruncie. Należy ją stwarzać, trzeba dać każdemu możność wejścia w jej szeregi“. ****) Ale przedewszystkiem trzeba ją uchronić od ruiny i przed konkurencją ze strony wielkiego kapitału. Środki zaradcze są różne, stosownie do tego z kim mamy do czynienia.

Przedewszystkiem co do chłopstwa. Własność włościańska porwaną została wirem obecnej „anarchji, prostota i odrębność stanu chłopskiego minęła

*) Kaufmann: „die Vertretung d wirthschaft. Interessen in der Staaten Europa's“, 1879 rok.

**) Ks. Hitze rozróżnia państwo i społeczeństwo w sposób zgodny z poglądami prof. wiedeńskiego Lorenza Stejna.

***) Hitze: Kap. u. Arb. str. 529.

****) Hitze: die s. Frage str. 212.

niepowrotnie, a zadaniem mądrej polityki jest odwrócenie dalszej szkodliwości tego kryzysu. Lecz nie jest to tak łatwe, gdyż należy rachować się z mnóstwem i różnych drobiazgowych względów. W górach są inne warunki, a inne na równinach; w jednych miejscach są małe, a gdzieindziej wielkie gospodarstwa chłopskie; co więcej z każdą prawie rodziną, z każdym oddzielnem gospodarstwem godzi się postępować inaczej. Lecz wszędzie i zawsze potrzeba pamiętać „że gospodarstwo chłopskie chłopa stwarza“, a więc by posiadać „zacny, kwitnący, silny“ stan chłopski, trzeba powstrzymać podział gospodarstw i ich zanikanie. Stanowi to alfę i omegę całej reformy. Następnie należy nie zapominać, że „obdłużony chłop chłopem być przestaje“. Wreszcie wypada pamiętać o krańcowym jego konserwatyzmie, sprzeciwiającym się wszelkim amelioracjom. Istnieją gminy wiejskie (np. w Szwabii) gdzie z zasady nie wprowadzają żadnych maszyn, bo takowe dawne burzą zwyczaje, *) ten konserwatyzm przełamać są w stanie jedynie szkoły agronomiczne i wzorowe fermy rolnicze. Wreszcie, by módz walczyć z wielką własnością ziemską i zużytkować dla drobnej własności wynalazki, konieczną jest rzeczą szerzenie asocjacji. Oto założenia, które przewodniczyć winny reformom wśród klasy włościańskiej. Odpowiedni drobiazgowy program został wypracowany w Salzburgu 1882, wraz z przedstawicielami włościaństwa przez komisję (Hitze, v. Vogelsang) wyłonioną na 29. zjeździe katolików niemieckich. Obejmuje on 19 paragrafów, opiewających: wszystkie ciężary padające na włościanina opierać się winny na wartości sprzętu z posiewów; dla utrzymania stanu włościańskiego koniecznem jest wytworzenie specyficznego prawa agrarnego i wprowadzenie majoratów chłopskich **); by gospodarstwo włościańskie utrzymało się w rękach rodziny, wypada ustanowić prawo odkupu sprzedanej posiadłości przez krewnych sprzedawcy za cenę szacunkową; wielkość samego majoratu określa prawo krajowe, przyznaczając też pewien fundus instructus, który nie winien wychodzić z rąk rodziny; zmniejszenie ciężarów służby wojskowej dla następcy majoratu; wprowadzenie dziedzicznej własności chłopskiej wypada przeprowadzić już dzisiaj, gdzie to jest możebne; w innych zaś miejscach należy przygotowywać ludność; szacowanie majątku odbywać się ma na zasadzie czystego dochodu kadastralnego, a obdłużenie majątku nie winno wychodzić po za pewne granice; ułatwienienie pożyczek niskoprocentowych, spłacanych ratami. Zmiana dotychczasowego systematu egzekucyjnego na wypadek licytacji: a) pierwszeństwo posiadają krewni licytowanego, b) wartość licytacyjna nie winna być zbyt niską w stosunku do wartości szacunkowej, c) licytowany majątek może być sprzedany tylko temu, kto zobowiąże się zajmować gospodarstwem; organizacja stanu włościańskiego w obowiązkowe związki obwodowe, krajowe (izby włościańskie), oczywiście z uwzględnieniem stosunków miejscowych.

W rubrykę działalności związków winno wchodzić: pośredniczenie przy zaciąganiu pożyczek, interwencja a nawet stanowcze veto przy sprzedaży majątku, pomoc przy kontroli przemysłu leśnego i dozorowanie instytucji kredytowych, organizacja solidarna i wzajemna instytucji ubezpieczeń, piecza nad chorymi i niezdatnymi do pracy parobkami, wsparcie oddzielnych jednostek, lub grup przy przedsiebiorstwach ameljoracyjnych; wytworzenie sądów polubownych.

*) Hitze: d. soc. Frage str. 220.

**) Komisja włościańska posiadłość określa jak następuje: jest to zamieszkała i bezpośrednio przez właściciela zarządzana posiadłość gruntowa, wystarczająca na utrzymanie niezależne właściciela (czy to dzięki uprawie roli, czy też gospodarstwu mlecznemu lub hodowli bydła).

Zresztą z chłopstwem sprawa jest najtrudniejszą; „duma chłopska za żadne pieniądze nie chce przystać na cechową, zrzeszoną, stanową organizację". O wiele łatwiejsza sprawa z rzemieślnikiem, gdyż to wszystko na dzisiaj sprowadza się do wznowienia dawnych cechów z obowiązującemi prawami („obligatorische Innungen"). Powinny one objąć wszystkie rzemiosła, unormować stosunek między majstrem, a uczniem i czeladnikiem, wprowadzić na szeroką skalę spożywcze i współdzielcze stowarzyszenie, oraz wspólne magazyny it.d., a koniecznym ich korelatem powinno być stworzenie banków cechowych „Innungsbanken" — pośredniczących między pojedynczemi cechami a bankiem ogólno państwowym, następnie usunięcie wszelkich przeszkód na drodze ku dobrobytowi rzemiosła, jako to pracy więźniów, oddawania robót drogą submisji komu innemu a nie cechowi i t.d. Zresztą w drobiazgowe sprawozdanie środków proponowanych przez Hitzego wdawać się nie będziemy, a odsyłamy czytelnika do specjalnego dzieła jego: „W obronie rzemiosła". lub też do broszury Albertusa „o rozpaczliwem położeniu rzemiosł".

Zapewniwszy drogą prawodawczą byt obu tych warstw — prawodawstwo winno wziąść pod uwagę warstwę robotniczą i przedsiębiorców. Kapitalistyczny porządek rzeczy, który podtrzymuje i wytwarza te duże warstwy antagonistyczne, jest z jednej strony zbyt automatyczny i tyrański w prowadzeniu produkcji a nadto zbyt niesprawiedliwym przy jej podziale, z drugiej zaś nie posiada on jednolitego planu i znajomości potrzeb społecznych, jednem słowem jest zbyt anarchiczny. Ztąd na państwie spoczywają dwa zadania: winno ukrócić anarchję produkcji i zaprowadzić sprawiedliwszy podział. W pierwszym kierunku dużo zdziałać by mogła centralizacja Izb handlowych, oraz zorganizowanie statystyki wewnątrz kraju, a zewnątrz biur centralnych, któreby pośredniczyły przy zawieraniu umów z zagranicą, śledziły jakie towary nadają się do wywozu zagranicę, w jakich gałęziach kraj ma wystąpić do walki konkurencyjnej, oraz o jakie rynki może się spółubiegać. Wreszcie w kwestji drugiej, podziału sprawiedliwszego, pożądanem byłoby stworzenie stanowczego prawodawstwa robotniczego (prawodawstwo fabryczne, obowiązkowe kasy dla chorych i inwalidów pracy, uznanie przez państwo prawa na pracę), a przedewszystkiem popieranie stowarzyszeń spółdzielczych wśród robotników.

„Członkowie takiego stowarzyszenia, jakoteż wszelkiego innego w tym kierunku, są ekonomicznie wolni, niezależni; przestają być proletarjuszami, a wchodzą do warstwy średniej — to już dostatecznie przemawia za wcielaniem w życie tej idei. Członkowie tacy mają znowu coś do stracenia, a to stwarza wśród nich zachowawcze usposobienie. „Jednem słowem" wytwórcze stowarzyszenia celem naszych dążności są i pozostaną, lubo ich niezwłocznego urzeczywistnienia nie ośmielamy się spodziewać".

Program ks. Hitzego obejmuje nie tylko społeczną sferę, lecz i polityczną i religijną, gdyż są one tak ścisle między sobą związane, że niepodobna wyczerpująco mówić o jednej z nich, pomijając inne. W rozbudzeniu świadomości niezmierną rolę przypisuje nasz teoretyk kulturkampfowi, a inicjatywę arcybiskupowi Kettelerowi i Jörgowi, którzy po raz pierwszy w Niemczech wykazali konieczność jednoczesnej walki na wszystkich trzech polach; oraz zwrócili się ku stanom średnim, by na ich czele powstrzymywać zapędy zwolenników przewrotu, czy to ze strony krańcowego manczesteryzmu czy też z pośród socjaldemokracji. *(d. n.)*

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Stanisław Maniecki.**

Książki nadesłane do redakcji „Przeglądu Społecznego“.

„Podstawy teoryi poznania w systemie logiki dedukcyjnej i indukcyjnej I. S. Milla“. Przez D-ra Aleksandra Raciborskiego tom I. str. 333, tom II. str. 308. Lwów, nakładem autora, 1886 r.

Kaczała Stefan. Korotkaja istoria Rusi (Ruska istoryczna biblioteka, pid redakcieju Oł. Barwińskoho), t. I. Ternopol, 1886 str. 2 i 168.

Baśń. Przez Korczaka. Część pierwsza str. 112. Kraków, nakładem autora, 1886.

Austryjackie prawo karne wojskowe w zarysie porównawczym skreślił dr. Julian Morelowski. Lwów, nakładem redakcji *Urzędnika i Prawnika*, 1885.